

Jacek Gajewski

**SANDOMIERZ
WALCZĄCY**

Jakie życie taką śmierć.

Ale żeby godnie umrzeć, trzeba godnie żyć.

Moim Kochanym Rodzicom
i wszystkim prawdziwym Sandomierzanom

Autor

Spis treści

Od autora	7
Wstęp.....	11
Jedenaście istnień ludzkich	12
Nigdy jej nie zatrzymuj, kiedy odchodzi na zawsze	15
Bezrobocie.....	19
Armageddon	23
Przypowieść o talentach	27
Rekord Guinnessa.....	29
Siedem filarów – czyli fundament pozytywnego wojownika ...	34
a. Wiara	34
b. Praca	40
c. Podróże	45
d. Sport	73
e. Języki.....	82
f. Doświadczenie	92
g. Alkoholizm	95
Jedna akcja życia może zmienić bieg przeznaczenia	100
Zakończenie.....	108

Od autora

Profesor Władysław Bartoszewski w książce pt. „Wywiad rzeka” powiedział: „Żeby stary mógł, żeby młody wiedział”. Dlatego ze względu na mój wiek średni (34 lata) mogę pisać, ponieważ już coś wiem i jeszcze mogę. Mimo wykonywania zawodu nauczyciela, a raczej służby pedagogicznej, nie zamierzam nikogo uczyć i pouczać – tym bardziej, że dzieli mnie przepaść z wyżej wymienionym mentorem i prawdziwym obrońcą rządu dusz. Profesor Bartoszewski w szkole średniej nie był wyróżniającym się uczniem na lekcjach matematyki. Kiedy trafił na początku II wojny światowej do obozu koncentracyjnego, spotkał się twarzą w twarz ze swoim byłym nauczycielem matematyki. Jego pedagog ze względu na beznadziejne warunki bytowe panujące w Auschwitz stał już jedną nogą w grobie i jego dni były policzone, ale gdy ujrzał swojego byłego ucznia zwrócił się do niego tymi słowy: „Władek, powiedz mi szczerze, ty to się tej matematyki nie chciałeś, czy nie mogłeś nauczyć?”.

Książkę niniejszą zacząłem pisać 1 września 2008 roku i choć to dla Polaków data szczególna, nie była ona moją inspiracją. Większym bodźcem był zbliżający się termin wylotu do Maroka (16 lutego 2009 r.), gdyż posiadam świadomość możliwości uczestniczenia w większej liczbie startów niż lądowań.

Mało jest pozycji książkowych czy filmów, gdzie treścią lub choćby tłem jest Sandomierz, jedno z najstarszych miast w Polsce, niegdyś stolica udzielnego księstwa, potem województwa, a dzisiaj stolica Diecezji. Dobrą monografię miasta Sandomierza napisał ksiądz Melchior Buliński, a wydał pośmiertnie ksiądz Wawrzyniec Kukliński, będący Prałatem Kustoszem kościoła katedralnego, mający dostęp do biblioteki kapitulnej,

archiwów miejskich i klasztornych oraz miejscowych dokumentów. Bardzo dobra synteza naszego grodu w czterech tomach została napisana pod redakcją Henryka Samsonowicza pt. „Dzieje Sandomierza”: tom I (red. Stanisław Trawkowski), poświęcony historii Sandomierza w dziejach Polski Średniowiecznej, tom II, najobszerniejszy, obejmuje czasy nowożytne, do rozbiorów (red. Feliks Kiryk). Tom III – poświęcony jest dziejom Sandomierza w czasach niewoli (red. Jan Małecki). Wreszcie tom IV – dotyczy czasów po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku (red. Wojciech Czajka).

Sandomierz jest godny i oczekuje od swojej młodzieży, aby jego imię dalej wpisywała na karty historii państwa polskiego, a nawet i świata. Moja książka nie pretenduje do tego zaszczytnego przedsięwzięcia, ale zwraca się do młodych i tych już starszych z apelem o podjęcie walki o ten wpis. „Sandomierz Walczący” jest zachętą do wywołania refleksji, zadumy, a może nawet szerszej dyskusji na swój temat. Nie jest on jednak prekursorem myśli i idei, bo większość z nas pewnie prawdy z „czwartego wymiaru” trzyma wewnątrz siebie. Jednego nie można zarzucić „Sandomierzowi Walczącemu”, a mianowicie prawdziwości faktów i szczerości oraz emocji płynących z głębokiego wnętrza. Oczywiście autor nie pisze wszystkiego co wie ze względu na powierzenie mu tajemnic prywatnych i służbowych oraz na dobre imię ludzi żyjących wśród nas.

Najgorsze, co można zrobić w obecnej sytuacji małych miast, to poddać się, zaszywając się w czterech ścianach, a tym samym popełnić niewybaczalny grzech zaniedbania. Wstając codziennie przed wschodem słońca, bierzmy na własne barki sztandar Sandomierza łopoczący na wietrze Polski południowo – wschodniej i na nowo podejmujemy trud dźwigania go, zmęczeni jak to miasto, by nie rozdziobały nas kruki i wrony. Sandomierzanie mają prawo do pokoju wewnętrznego, spokój jest rzeczą cenną i pożądaną, posiadającą swoją wymierną wysoką cenę w przeciwieństwie do honoru, który jest bezcenny, a San-

domierz od Zjednoczonej Europy odepchnąć się nie da! Nie traćcie nadziei, „wyrwijcie zęby murom krat” a zobaczymy, ilu tak naprawdę nas... „Sen to zło, nie ma złudzeń” i choć wielu jest lunatyków, to znajdują się tacy, którzy przebijają się na drugą stronę, gdyż jest to żywotnym interesem tego miasta. „Kto jest bez winy, niechaj pierwszy rzuci kamień, niech rzuci!”. Ja nie mam odwagi się po niego schylić. Jeżeli na końcu tej drogi nie stoi Pan – Jezus Chrystus, to ta droga prowadzi do nikąd. I nie pytajcie, co miasto może zrobić dla was, zapytajcie, co wy możecie uczynić dla Sandomierza.

Dramat jest tym większy, że musimy mu stawiać czoło każdy z osobna, zupełnie sami. Boże Ojciec Wszechmogący doprowadź do pełnej jedności tego miasta. Sandomierzanie! Każdy z Was nosi zwycięstwo w swoim sercu. Sandomierz żyje! Sandomierz walczy! Sandomierz zwycięży!

W tym miejscu zmówmy „Modlitwę o pogodę ducha” za Nas samych:

„Boże, użycz mi POGODY DUCHA,
bym godził się z tym, czego zmienić nie mogę,
ODWAGI, bym zmieniał to, co mogę zmienić
I MĄDROŚCI, bym umiał odróżniać
pierwsze od drugiego”.

Pragnę podziękować mojemu przyjacielowi nad wyraz skromnemu, prawdziwemu intelektualistcie Mieczysławowi Godyniowi, gdyż bez jego cennych recenzji ta książka nigdy by nie zobaczyła światła dziennego. Dominikanin Ojciec Tytus z kościoła św. Jakuba w Sandomierzu (pierwszy kościół w Polsce zbudowany z cegły) na moje pytanie, jak widzi przyszłość Sandomierza, odpowiedział: „drogą i prawdą będą wspólnoty myślących katolików takich jak np. Mietek Godyń”. Dziękuję Mariuszowi Krasoniowi za istotne konsultacje słowne i umieszczenie bardzo przejrzystych diagramów szachowych w rozdziale:

„Jedna akcja życia może zmienić bieg przeznaczenia”. Podziękowania kieruję do fotoreportera „Rzeczypospolitej” Rafała Guza za wykonanie fotografii z moją podobizną, Helenie Maruszak za pomoc przy pisaniu podrozdziału: „Języki” i pomoc przy zredagowaniu ostatecznej wersji książki, Teresie Barańskiej za uwagi odnośnie podrozdziału: „Alkoholizm” oraz Annie Kondek za użyczenie fotografii Sandomierza umieszczonej na okładce.

Dziękuję wszystkim Tym nie wymienionym z imienia i nazwiska, którzy byli ze mną w trakcie powstawania poniższego tekstu i nie nazywali mnie głupcem, lecz życzliwie wspierali duchowo i mentalnie, a nawet uczuciowo. Myśleliście o mnie w godzinach ciężkiej próby, a teraz ja o Was myślę. Jedno jest pewne – dokonało się!

Dziękuję wszystkim moim oponentom, wrogom, gdyż byli dla mnie żywym przykładem, jak nie należy postępować, ale wybaczam im i proszę o wybaczenie, nie żywiąc żadnej urazy do nich, ani nie nosząc zadry w sercu. Dziękuję wszystkim tym, którzy zdradzili ideały w naszych związkach osobistych, gdyż dali mi możliwość udowodnienia, że człowiek mimo, iż jest śmiertelny ciałem, potrafi nadstawić drugi policzek w imię najwyższych wartości. Dziękuję sceptykom nie wierzącym, że będąc w beznadziejnych sytuacjach jestem jeszcze w stanie podnieść się z kolan po licznych nokautach i stanąć na nogi. Ich sceptycyzm pchał mnie do udowodnienia możliwości pokonania własnych słabości, a co za tym idzie – pokonałem sam siebie!

Wstęp

Jest rok 2008 – zima i czarne chmury nad dziesięciowiekowym miastem położonym w widłach Wisły i Sanu.

Ale cofnijmy się do roku 1935, w którym umiera ostatni wielki mąż stanu Józef Piłsudski. Wrzesień 1939 roku. I zostajemy bez wolnej ojczyzny. Rok 1943. Nad Gibraltarem w katastrofie lotniczej zostaje zamordowany Premier Rządu Polskiego na uchodźstwie i Naczelný Wódz Polskich Sił Zbrojnych, Władysław Sikorski. Kto go zamordował? Brak odpowiedzi historyków i polityków. Ja odpowiadam: Józef Stalin, może rękami NKWD, a może rękami naszych „wiernych” sojuszników Anglików. Jeszcze bohaterski zryw w lecie 1944 roku w Warszawie, między innymi czternastoletnich dzieci z AK (powstanie jest zostawione samo sobie, tak jak rok wcześniej powstanie w Getcie Warszawskim dowodzone przez Mordechaja Anielewicza i Marka Edelmana) i... iskierka gaśnie.

Nasz naród udowodniał w przeszłości zdolność do przetrzymania rządów obcych, więc przetrwał: Bieruta, Gomułkę, Gierka, a Jaruzelskiemu i jego ekipie cios zadaje Solidarność z Lechem Wałęsą na czele w 1989 r.

Rodząca się demokracja, 20% bezrobocia za Buzka i wejście do struktur NATO. Rok 2004 jest datą drugiego Cudu nad Wisłą – Polska staje się członkiem Unii Europejskiej za sprawą Ducha Świętego, który zstąpił z Nieba na ziemię, o co modlił się nasz rodak, Jego Świątobliwość Jan Paweł II.

Tak można scharakteryzować tę wielką historię, ale są także historyjki tych małych i maluczkich miast, małych i maluczkich ludzi, małych w obliczu historii świata, ale wielkich duchem, charakterem, czystością serca i idei.

Jedenaście istnień ludzkich

PRYZRZECZENIE RATOWNIKA WOPR

Ja ratownik Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego przyjmuję za swe godło „niebieski krzyż i złotą kotwicę” – przyrzekam sumiennie w pełnym poczuciu odpowiedzialności moralnej wypełniać swoje obowiązki społeczne. Dopóki zdrów będę, bez względu na pogodę, porę dnia i nocy przez okres całego roku pośpieszę z pomocą ludziom, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie utraty życia w wodzie. Wszystkie swe siły i umiejętności wykorzystam dla zmniejszenia nieszczęśliwych wypadków utonięć, nie zapominając, że od mojej postawy zależne może być życie ludzkie.

Jest pochmurny listopadowy dzień roku 2006. Pełnię dyżur ratownika WOPR na Pływalni Krytej „Błękitna Fala” w Sandomierzu, górna niecka, czyli basen większy do 180 cm głębokości (na niecce dolnej znajduje się jeszcze jeden – płytszy). Kolorowe koraliki dzielą akwen na połowy. Na płytszej odbywają się zajęcia aqua-aerobicu. Pełnię te dyżury już od siedmiu lat, spokojnie przyglądając się uczestnikom. Jedno oko mam instruktora pływania: krótkie spojrzenie i wiem, komu i co należy poprawić w technice pływackiej oraz jak metodycznie do tego doprowadzić. Drugie oko to oko ratownika WOPR – obrońcy ludzkiego życia w wodzie i nie tylko.

Do głębszej połowy basenu zbliża się chłopak lat około siedemnastu, sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi. Beztro-

sko schodzi po drabince i dołącza do innych jemu podobnych. Zaczyna niepewnie przemieszczać się w wodzie, bo tylko tak można nazwać te niezgrabne ruchy, a ja widzę, że jego technika jest mierna i pozostawia bardzo dużo do życzenia. Wyływa na środek, jeden haust ozonowanej cieczy bezpośrednio wpada mu w płuca i chłopak zaczyna się szamotać.

Zawsze niezależnie od siebie reaguję tak samo w tego typu wypadkach. Podrywam się z miejsca (jeśli oczywiście siedzę) i pierwsze oszacowanie jest takie: „topi się”! Chwila upewnienia, czy nie udaje i drugie: „naprawdę się topi”!! W tym momencie świat zewnętrzny przestaje istnieć dla mnie, mam już „boczne klapy”, nie wiem co się dzieje dookoła; obrazy, które były tak wyraziste przed sekundą, nie są dostrzegalne, liczy się tylko ten człowiek potrzebujący natychmiastowej pomocy. Determinacja sięga zenitu i zaczyna się nie tylko walka z czasem, ale również pojedynk jeden na jeden. Jest to nietypowy pojedynek, nie taki jak w innych dyscyplinach sportowych. W sporcie jest pewna zależność: „abym ja mógł wygrać, on musi przegrać” i na odwrót: „żeby on był zwycięzcą, ja muszę być pokonanym”.

W tym pojedynku, zwanym w slangu „solówką”, zależność jest zupełnie odwrotna. Żeby ja wygrał, on musi wynieść swoje życie z wody; aby on uniknął śmierci, ja muszę być zwycięzcą.

Omijam jakąś anonimową osobę, rozbieg, skok ratowniczy i płynę kraulem w to miejsce, gdzie go ostatni raz widziałem na powierzchni. Podpływam i nagle czuję żelazny uścisk na gardle, a za chwilę widzę pęcherzyki powietrza i ta przelatująca myśl: „Boże, to ja ratuję od tej chwili dwa istnienia ludzkie”. Podciągam nogi pod siebie, mocny kopniak – trafiam, jestem z powrotem nad poziomem lustra wody. Ponawiam próbę ze zdwojoną zaciętością, ale i ze zdwojoną ostrożnością – nie dam się zaskoczyć tym razem powtórnie. Wykonuję „scyzoryk”, nurkuję, zbliżam się od tyłu, zakładając chwyt żeglarski i zaczynam ho-

lowanie metodą nożycową do drabinek. Po wyciągnięciu z wody upewniam się, czy wszystko w porządku i ten, który był jedną nogą po tamtej stronie szykując się w ostatnią drogę, oddala się do szatni, nie mówiąc nawet: „pocałuj mnie pan w...”. Teraz dopiero dostrzegam skupionych kibiców, wpatrujących się we mnie w liczbie dwudziestu kilku. Przyglądali się biernie przez ostatnie trzy minuty. Spokojnie czekali z zaciekawieniem, czy i tym razem sobie poradzę. Przypominam sobie słowa znanej piosenki: „...ktoś inny zmienia świat za Ciebie, a Ty z daleka, bo tak lepiej...”.

Przedstawienie się skończyło, widzowie się rozchodzą, kolega z pojedynku jeden na jeden suszy główkę w szatni, a ja czuję, że całe moje ubranie ocieka wodą i następuje odpływ adrenaliny.

Jedenastu ludzi wyciągnąłem z wody ze szponów śmierci. Niejednokrotnie były to proste akcje, gdyż wystarczyło dać dwa susy na płytkim basenie i stawiałem dziecko na brzegu, ale myśli o granicy pomiędzy życiem, a śmiercią dręczą mnie później kilka dni, a w długie dżdżyste jesienne wieczory wirują odtwarzając dramatyczne, mrozące krew w żyłach sceny.

W tym miejscu składam hołd wszystkim tym, którzy z narażeniem własnego zdrowia i życia, nie dla zysku materialnego i jakiegokolwiek innego, ratują i dają to co najcenniejsze, ryzykując wszystkim.

Nigdy jej nie zatrzymuj, kiedy odchodzi na zawsze

Dwa lata temu w czasie wakacji, prowadząc zajęcia na basenie słyszę, że dzwoni mój telefon komórkowy. Numer nieznanym, no cóż... wciskam zielony przycisk i mówię:

– Słucham, kto mówi?

Następuje standardowa rozmowa. Głos w słuchawce:

– Z tej strony Anna *taka a taka*, czy rozmawiam z panem instruktorem *takim a takim*?

– Tak, zgadza się – odpowiadam uprzejmie.

Umawiamy się na dzień następny na naukę pływania. Tak przez tydzień uczymy się (trochę z marnym wynikiem) i poznamy się nawzajem. Zawsze zadaję pytanie moim uczniom, jakiemu celowi mają służyć nabyte umiejętności, czy ma to być przygotowanie do egzaminu w uczelni sportowej (AWF), a może na jeden z kursów na ratownika WOPR, czy dla własnej satysfakcji – pływanie rekreacyjne, albo w wyniku zaleceń lekarza z powodu wady postawy ciała. Pada odpowiedź: na egzamin – to nietypowy sprawdzian dotyczący umiejętności wydostania się z tonącego wraka rozbitego samolotu po zetknięciu z powierzchnią wody. Nasza bohaterka jest stewardessą latającą w samolotach Rządu Polskiej Rzeczypospolitej.

Nigdy nie łączę strefy prywatnej z zawodową i mimo insynuacji kolegów ratowników cały tydzień jestem skupiony na metodyce nauczania stylu grzbietowego. Stare porzekadło głosi: „nigdy nie mów nigdy”; po siedmiu dniach idziemy na spacer ot tak, pogadać – znajomość przechodzi na sferę prywatną.

Na początku takich przyjaźni zawsze jest zaciekawienie, tematy są interesujące, wkrada się zauroczenie. Słońce świeci w te dni jakby bardziej wyraziście a kwiaty i drzewa pachną intensywniej.

Po kolejnych sielankowych dniach zbliża się pora jej odjazdu do Warszawy, gdzie mieszka na stałe. Na odchodne dostaje zaproszenie do stolicy, która nie jest mi obca po skończeniu studiów na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

Trzy tygodnie długiego wyczekiwania i jadę odświeżyć obrazy z lat studiów oraz oczywiście z rewizytą do Ani. Pobyt w Warszawie z dnia na dzień zaczyna mi otwierać oczy. Ja jestem z innej bajki, a ona z innej. Jej dobranocka kręci się wokół szumnych nazwisk (Lepper, Giertych), ludzi z BOR i neonów dużego miasta, kolorowych świateł i migających fleszy, a moja przy mieście spokojnym i cichym, ludziach nie świecących na zewnątrz, mimo to o bogatym wnętrzu. Dojrzałem do myśli: ona nie zostawi świecidełek, ja nie opuszczę potrzebujących mojego wsparcia. Na koniec weekendu żegnam się nie tylko z gospodynią, ale także na zawsze z moimi dwiema płytami CD „Gipsy Kings”, tracąc je na wsze czasy w wyniku „pożyczenia”.

Dwa lata później spotkałem Anię ponownie w Sandomierzu przy Pływalni Krytej. Rozmowa z zachowaniem „savoir-vivru”, na dystans, jednym spojrzeniem nie daliśmy po sobie poznać, że były takie chwile... łączące nasze drogi w jedność. No, cóż – Ania niech dalej lata szczęśliwie wysoko w chmurach, ja wolę ten „dół”, przynajmniej mogę mocno po nim stąpać nogami. Nie znaleźliśmy wspólnego języka, ponieważ nastąpiło zderzenie dwóch odmiennych światów nie dających się pogodzić ze sobą.

Przywodzę w pamięci podobne zdarzenie sprzed ośmiu lat. Siedziałem wtedy w McDonalddie na Dworcu Centralnym w Warszawie z moją koleżanką o imieniu Roma, która mieszkała w Krakowie i jak dalej opowiem, nic nie miała z wielkości

starożytnego miasta. Pomieszczenie było małe, a podróżnych nieproporcjonalnie dużo do ilości miejsc siedzących przy skromnych pięciu stolikach. Zamawiamy i czekamy, a w naszym sąsiedztwie siedzi kobieta lat blisko sześćdziesiąt trzymająca w jednej ręce „siatę” wypchaną jakimiś szmatami. Nic nie zamawiała, bo pewnie nie miała pieniędzy i tylko odpoczywała pojękując z cicha po trudach minionych lat. Fakt faktem, nie tylko można ją było ujrzeć, ale i poczuć. Minął kwadrans, podniosła się ze swojego miejsca i opuściła McDonalda. Byłaby w moim życiu zapomnianym epizodem, gdyby nie dialog, jaki się nawiązał między mną a Romą po zniknięciu kobiety w drzwiach kafejki:

Roma: – Ależ ona śmierdziała.

Ja: – Może nie ma na mydło.

Roma: – Jak to nie ma?

Ja: – Nie każdy tak jak ty pracuje na uczelni wyższej i zarabia ponad 3000 złotych.

Roma: – Tu nie chodzi o pieniądze, tylko o higienę.

Ja: – A o co chodzi jak nie o pieniądze? Nie masz grosza, domu, jedzenia, to i nie możesz dbać o higienę.

Roma: – Chamski jesteś i jak ty się do mnie odnosisz?

Ja: – Tak się do ciebie odnoszę, jaki ty masz stosunek do innych.

Roma nie potrafiła zrozumieć, że ktoś może nie mieć pieniędzy, a ja nie potrafiłem zrozumieć i nie potrafię do tej pory, że ona nie potrafiła lub nie chciała zrozumieć.

Te dwie historyjki potwierdzają przysłowie o punkcie widzenia w zależności od miejsca siedzenia. Blichtr dużych miast tętniących życiem nocnym, możliwość oszałamiających i szybkich karier zamazał tym dziewczynom obraz drugiego człowieka. Ich postawy niewiele miały wspólnego z rozumieniem człowieka czy specyfiki małego miasta „Polski B”. Nie były w stanie pochylić się nad nędzą ludzką czy zaściankową prowincją. Innych ludzi traktowały przedmiotowo, a własne „Ja” – podmio-

towo. Nie chcę powiedzieć, że jestem szafarzem mądrości i miłości, ale im mogę zanucić: „Może się spotkamy znów po kilku latach, będziesz wtedy inna, ja wciąż taki sam, może nam się uda porozmawiać jeszcze raz. Dzisiaj muszę odejść, już mnie nie zatrzymasz, przez te wszystkie lata nic się nie zmieni, ja będę myślał, co myślę, wierzył w co wierzę”.

Bezrobocie

Bezrobocie jest pojęciem ściśle związanym z zagadnieniem pracy, a ściślej mówiąc z rynkiem pracy. Zjawisko bezrobocia to nic innego jak nadwyżka podaży, pracy reprezentowanej przez pracowników poszukujących pracy, nad popytem na pracę reprezentowanym przez pracodawców poszukujących pracowników.

Definicja bezrobocia mówi, iż bezrobocie jest zjawiskiem polegającym na tym, że część ludzi zdolnych do pracy i chcących pracować nie znajduje żadnego zatrudnienia.

Wyróżniamy następujące fazy bezrobocia (wg psychologicznego modelu Jahody i Lazarsfelda).

Faza 1. Antycypacja bezrobocia – pobudzenie, zmiany nastroju, labilność emocjonalna.

Faza 2. Szok po utracie pracy – poczucie klęski, krzywdy, upokorzenie, lęk przed przyszłością, przygnębienie.

Faza 3. Wchodzenie w sytuację bezrobocia i optymizm – efekt urlopu, traktowanie sytuacji jako przejściowej, aktywność, wiara w sukces.

Faza 4. Pesymizm i rezygnacja – negatywne reakcje emocjonalne, problemy zdrowotne i finansowe.

Faza 5. Fatalizm i apatia, dopasowanie do sytuacji – poczucie beznadziejności, dążenie do izolacji społecznej, redukcja oczekiwań życiowych, zainteresowań.

Osoby, które zakończyły edukację, ale nie mają jeszcze doświadczenia zawodowego, nie są poszukiwaną grupą zawodową (z wyjątkiem niektórych specjalności). Wymagają one długiego szkolenia i nabywania doświadczenia, będąc przez ten czas mało produktywnymi. Z tego powodu absolwenci często nie mogą znaleźć pracy, nawet jeśli istnieje popyt na pracowników w danej branży.

W 2001 roku dokładnie 2 sierpnia stawiam pierwsze kroki w mieście lat dziecińczych po dwóch latach nieobecności jako świeżo upieczony absolwent najliczniejszej pod względem liczby studentów w Polsce uczelni wyższej – UW. Jestem bez pracy, ale co mi tam, muszę odpocząć po trudach wczytywania się w naukowe książki historyczne z tysiącami przypisów i odnośników do dokumentów. Sielankowo mija sierpień, następuje wrzesień, dni stają się krótsze, niebo zachmurzone, a aura deszczowa, dzieciaki biegną do szkoły, a ja z optymizmem zaczynam szukać zatrudnienia. Rzecz jasna, traktuję swoje bezrobocie jako sytuację przejściową. Ufnym w sukces wysyłam dziesiątki, eee... setki CV i listów motywacyjnych do firm i przedsiębiorstw. Rozglądam się wokół siebie, spaceruję, rozmawiam ze znajomymi o tym, czy ktoś nie potrzebuje zatrudnić młodego, dobrze zapowiadającego się, wykształconego pracownika.

Mija miesiąc, drugi, a mój telefon, w który wpatruję się coraz intensywniej, czekając na zaproszenie do rozmowy kwalifikacyjnej od zakładów pracy... milczy. Wszystkie moje myśli, działania i dialogi zaczynają być bardzo monotematyczne, temat dyżurny – praca. W listopadzie zapala się światełko w tunelu. Mam informację o możliwości zatrudnienia się w Centrali Nasiennej. Biegnę na skrzyżowanie ulic Ożarówskiej i Wiśniowej. Przeszczępną próg Działu Kadr i pada pierwsze pytanie skierowane do mnie:

– Jaką pan posiada wiedzę i doświadczenie na temat produkcji i sprzedaży buraków?

Błyskawicznie rozważam zagadnienie w myślach: „Buraki bardzo lubię jeść, te czerwone oczywiście po ugotowaniu” i odpowiadam:

– Moja wiedza na dzień dzisiejszy jest ogólna, ale wezmę fachową literaturę i będę ekspertem w tej pasjonującej dziedzinie.

Spotkanie się kończy standardowym zapewnieniem powiadomienia mnie o potrzebie zawarcia umowy o pracę z moją osobą. Tydzień minął i odetchnąłem trochę z ulgą, że nie będę musiał inwestować w książki „agro”.

Przy tych rozlicznych niepowodzeniach wpadałem też i na dobre pomysły, jak ten o podjęciu studiów na Uniwersytecie Rzeszowskim kierunku: wychowanie fizyczne wraz z korektywą postawy ciała. To wynik mojej analizy. Dedukowałem tak: „jestem nauczycielem historii, ale po wprowadzeniu reformy w szkolnictwie, oprócz wprowadzenia gimnazjów, zredukowano do jednej godziny tygodniowo na klasę lekcje historii, a wychowania fizycznego trzy razy tyle w ciągu pięciu dni roboczych”.

W 2002 roku w Sandomierzu wybudowano Pływalnię Krytą. To był bodziec dla mnie, powodujący ukończenie dwóch kursów: młodszy ratownik WOPR i ratownik WOPR.

Bezrobotnym byłem przez okrągły rok, aż po wielu rozterkach znalazłem zatrudnienie na stanowisku nauczyciela wf-u w Gimnazjum nr 2 w Sandomierzu, na pół etatu za 239 zł miesięcznie – równowartość 60 dolarów (bo dolar był wtedy wart 4,20 – 4,40 zł). To było coś, a jak jeszcze pół roku później, w lutym, dostałem zawiadomienie o możliwości otrzymania umowy związanej ze stanowiskiem ratownika wodnego, to biegłem brodząc w śniegu ze szkoły oddalonej od pływalni o jakieś trzy kilometry, martwiąc się, aby nie spóźnić się na godzinę czternastą, bo wezmą kogoś innego. Taka umowa-zlecenie gwarantowała 40 zł po przepracowaniu ośmiogodzinnej „dniówki”.

Jak przeciwdziałać bezrobociu? Złoty środek nie istnieje, najlepszym sposobem wydaje się rozwój gospodarczy, którego

efektem będą nowe miejsca pracy. Alternatywnym rozwiązaniem jest również praca za granicą, która daje szansę na godziwe wynagrodzenie. Wszystko to prawda, ale przede wszystkim trzeba mieć tę niezłomną wolę trwania i przetrwania.

Oczywiście stan bezrobocia oprócz wewnętrznego spustoszenia ma pewne pozytywne aspekty. Stymuluje wzrost motywacji do kształcenia i podnoszenia kwalifikacji zawodowych. Mam taką maksymę: „co mnie nie zabije, może mnie tylko wzmocnić”.

Konsekwencją bezrobocia w przeszłości jest termin wymyślony przeze mnie, brzmiący: „*syndrom byłego bezrobotnego*”. Tylko ten, kto był bez pracy, a obecnie jest zatrudniony, może poczuć klimat mojego stwierdzenia.

Minęło osiem lat od przykrych doświadczeń, a ja wciąż pamiętam tamten koszmar. Dlatego dbam o każde zatrudnienie, jakie posiadam, niezależnie od miejsca wykonywania i rodzaju umowy. Staram się przychodzić wcześniej i opóźniać wyjście z zakładu pracy. Ciągle głowa myśli w kierunku podniesienia kwalifikacji. Wysiłek jest zorientowany, aby pracować solidnie, lepiej i nie tylko w granicach powierzonych czynności z pełnym zaangażowaniem, oddając duszę i całego siebie, bo człowiek docenia to dobro, jakim jest praca. Należy jednak uważać i nie dopuścić do przekształcenia „*syndromu byłego bezrobotnego*” w pracoholizm.

Człowiek jest ofiarą, czy wytworem bezrobocia w dalszej swej egzystencji? Ja jestem wytworem czerpiącym doświadczenie, naukę, przestrożę i wiedzę z przeszłości, ale z bólem serca patrzę na tysiące ofiar tej niesprawiedliwości społecznej.

Armageddon

Emigracja Polaków z macierzy jest już przysłowiowa. Przez mroczne wieki historii po stracie bytu państwowego, wy-nikłego z usytuowania geopolitycznego – na wschodzie: Impe-rium Moskwy Romanowów, na zachodzie: krwiożercze Prusy Hohenzollernów – jak i z błędów wewnętrznych, spowodowa-nych mentalnością. Powstanie Listopadowe – Wielka Emigracja liczyła około 11 tysięcy uczestników. Głównymi ich skupiskami poza Francją były Anglia, Stany Zjednoczone, Belgia, okresowo kraje niemieckie, Szwajcaria, Turcja, Hiszpania, Bliski Wschód. Poza granicami kraju znalazła się elita polityczna i intelektualna narodu: książę Adam Czartoryski, Joachim Lelewel, Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki i Fryderyk Chopin, wojskowi: np. Józef Bem i inni. Powstanie Styczniowe – odpływ biorących udział w działaniach zbrojnych w wyniku przymusowej emigra-cji tak zwanej „*zsyłki na Sybir*”. Lata 1864 – 1918 to okres ru-chów migracyjnych. Motorem ich były przemiany gospodarcze, które zmuszały do poszukiwania lepszych warunków egzysten-cji. Były to migracje ze wsi do miast, z obszarów zacofanych ku okręgom rozwiniętym, przekraczające granice państw oraz wy-chodźstwo zarobkowe do Rosji, a przede wszystkim do Amery-ki. Cechą charakterystyczną narodu pozbawionego niepodległo-ści jest również emigracja o podłożu politycznym. Rosła liczba Polaków, którzy znaleźli się poza krajem: w 1870 r. było ich 112 tys., w 1900 r. 2.700 tys., zaś przed I wojną światową już 4.327 tysięcy. II Rzeczypospolita rozpoczyna się tak zwanymi „saksami” z powodu szukania szczęścia i pieniędzy w Saksonii. Nasi rodacy zarabiają na chleb w Stanach Zjednoczonych Ame-ryki (m.in. dziadek mojego ojca ze strony matki, Wojciech Ko-pyto, budował kolej żelazną w Buffalo przy granicy z Kanadą

przez piętnaście długich lat, mając jedynie kontakt listowny z rodziną pozostawioną we wsi Wrzawy pod Sandomierzem), kopalniach ołowiu we Francji (ojciec mojego wujka, Władysława Stępnia, notabene posła na Sejm czterech kadencji III Rzeczypospolitej, również pochodzącego z Wrzaw). Koniec II Wojny Światowej – tzw. V-day – miliony ludzi na całym świecie świętowały zwycięstwo nad hitlerowską III Rzeszą. Wśród radosnych tłumów nie zastaliśmy żołnierzy Armii Generała Andersa, dla nich powrót do domów był niemożliwy, pozostała im tylko obczyzna. Rządy komunistów w PRL były skażone i wywoływały to emigrację polityczną, to ekonomiczną. Krążył nawet dowcip: „jakie jest najludniejsze miasto Polaków?”, odpowiedź brzmiała: „Chicago”, ponieważ tam mieszkała ponad dwumilionowa Polonia, a Warszawa miała niewiele ponad milion mieszkańców. Rok 1989, rok wolności, Tadeusz Mazowiecki, w geście zwycięstwa pierwszego niekomunistycznego premiera po ponad czterdziestu latach, pośrednio neutralizuje potrzebę składania wniosków o azyl polityczny. Początek XXI wieku charakteryzuje się wiekową bolączką kraju – sytuacja ekonomiczna to 20% bezrobotnych, powodujących nielegalne wyjazdy zarobkowe do Zachodniej Europy i za Ocean Atlantycki. W 2006 roku sytuacja łagodnieje po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Irlandia, Anglia, Holandia i między innymi Hiszpania, związane traktatami, legalizują zatrudnienie przybyszów z Europy Środkowej.

W latach 2001 – 2008, przebywając w Sandomierzu, czuję jakby całe miasto było ogarnięte dżumą. Nie ma miesiąca, tygodnia, dnia, abym nie słyszał o eksodusie moich kolegów, znajomych i sąsiadów. Przechadzając się ulicami, widziałem jak z dnia na dzień w oczach ubywaliśmy, było nas mniej i mniej. Przerażające, jak to znikanie ludzi jest adekwatne do relacji Marka Edelmana o ubywaniu narodu żydowskiego z Getta Warszawy w 1943 roku. Gdy sięgałem pamięcią i wzrokiem do lat szkolnych i przypominałem sobie te tysiące młodzieży, dziesiąt-

ki rozentuzjasmowanych dzieciaków na placach zabaw, dziewczyny grające w klasy i bawiące się w małych grupkach na przyosiedlowych trzepakach, to ze smutkiem stwierdzałem – wyjechali! Oczywiście należy to ocenić tak, jak Ojciec Święty Jan Paweł II: „Każdy człowiek ma prawo do wolnego stanowienia o miejscu swojego zamieszkania i pracy”.

Skoro tyle milionów przez wieki udało się na emigrację, to skąd biorą się następni w granicach od Odry do Bugu?

Jedną z naszych cech narodowych jest patriotyzm, przywiązanie chłopca polskiego do ziemi. Gdy jedni opuszczali granice ojczyzny, inni jeździli swoim wozem Drzymały z jednego miejsca na drugie. Pruskie pieniądze pochodzące od Hakaty nie stanowiły dla nich większej pokusy niż kawałek biednej, ale polskiej ojcowizny – mam w tym miejscu na myśli niezłomną postawę Ślimaka w „Placówce” Bolesława Prusa. Były osławione rugie pruskie w 1885 r., w wyniku których usunięto z terenu zachodniego byłej I Rzeczypospolitej około 39 tys. Polaków i Żydów, nie posiadających obywatelstwa pruskiego. Władze i koła szowinistyczne pruskie wspierały Komisję Kolonizacyjną, by przymusowo wywłaszczyć rdzenną ludność. W 1912 r. dokonano pierwszych wywłaszczeń czterech majątków polskich. Dalszej realizacji zbrodniczej działalności przeszkodził wybuch I wojny światowej. Podczas II wojny światowej był polski czyn zbrojny na wszystkich frontach, ale istniało też Podziemne Państwo Polskie ze zbrojnym ramieniem w postaci AK. W PRL-u praca za dwadzieścia dolarów miesięcznie nie stanowiła przeszkody w zdobywaniu złotych medali olimpijskich, mistrzostw świata, budowy szkół, wykształcenia się na cenionego inżyniera, lekarza, pisarza czy wykwalifikowanego robotnika gdyż oprócz zabójczego systemu totalitarnego istniał naród o niezłomnej postawie.

Nasi pra-pra-pradziadowie byli świadkami powstania maszyny parowej, żarówki, telefonu. Nasze pokolenie XX wieku pod względem technicznym przewyższa ich nieskończenie. Loty

w kosmos, komputer, telewizja satelitarna i Internet nikogo z nas już od dawna nie dziwią, ale mimo upływu ponad 200 lat problem naszego narodu jest nieprzemijający i nierozwiązany. Pytanie, które zadaje większość rodzin w dwudziestosiedmioletnim mieście: „emigracja, czy znój dnia codziennego w rodzinnym mieście”. Bo Armageddon póki co nie rozgrywa się w Dolinie Jezreel, ale w naszych maleńkich mieszkankach. Dobrem nie jest pozostanie w Sandomierzu, a wyjazd nie jest złem. Walka opisana w Apokalipsie św. Jana toczy się między tym, że „złem” jest rozterka, a „dobrem” jej brak.

Dzisiaj zarabiamy pół tysiąca dolarów miesięcznie, mimo to „exilas” moich braci i siostr dalej płynie nieprzerwanym potokiem. Jaka powinna być strategia dla małych miast i miasteczek? Mam nadzieję na akcję „oddolną”, albo musi przybyć „deus ex machina” lub po raz kolejny zdarzyć się cud. W przeciwnym razie będę w ostatniej grupie gaszącej światło w Sandomierzu.

Ci byli z miasta mojego:

1. Bażant Tomasz (Kraków)
2. Borcuch Artur (Tychy)
3. Dąbek Marcin (Kraków)
4. Kotarski Marcin (Kraków)
5. Kotowski Robert (Kraków)
6. Krasowski Tomasz (Lublin)
7. Rządkowski Tomasz (Warszawa)
8. Trela Wojciech (Norwegia)
9. I tysiące innych, którzy wyjechali.

Przypowieść o talentach

Przyjaźnię się z bardzo sympatycznym młodym księdzem Marcinem, który w październiku 2008 roku wyruszył na misję do miasta Portoviejo w Ekwadorze. Misja będzie trwała sześć lat, co zmusza do długich i żmudnych przygotowań, jak choćby jego wyjazd na parafię w Andaluzji w celu „podszlifowania” języka hiszpańskiego. Przed tym wyjazdem podarował mi Pismo Święte Nowego Testamentu z przykazaniem: „Jacek, jeżeli chcesz, żebym cię zaprosił do Ameryki Południowej, kiedy ja tam już będę, musisz przestudiować Ewangelię według Świętego Mateusza, ja od niej zaczynałem, to moja ulubiona”. Nie wypadło odmówić, zresztą takich rzeczy się nie odmawia, więc po kilku dniach od pożegnania biorę zadaną lekturę w ręce. Śledzę rodowód Jezusa Chrystusa, narodziny w Betlejem, Jego działalność w Galilei, męczeńską śmierć na Krzyżu, zmartwychwstanie i ostatni nakaz do wiernych. Wszystko to wzbudziło we mnie głębokie refleksje, silne doznania uczuciowe, przeżywam dreszcze trwogi i niepokój. Najbardziej jednak utkwiała mi w głowie przypowieść o talentach.

Pewien człowiek miał udać się w dłuższą podróż, wezwał więc służących i powierzył im swoje pieniądze. Jednemu dał pięć talentów, drugiemu trzy, trzeciemu jeden, według ich zdolności. Po powrocie przywołuje ich i rozlicza. Ten, który otrzymał pięć talentów, przyniósł dziesięć, ten któremu powierzono trzy – pomnożył je również przez dwa, a trzeci dostarczył ten jeden jedyny, który otrzymał pierwotnie, ponieważ zakopał go w ziemi ze strachu, aby go nie stracić.

Niektórzy filozofowie i teologowie dopatrują się w tej przypowieści przesłania miłości, ale czy zwykli śmiertelnicy nie mogą odnieść tego do dnia codziennego naszego łoża padole? Bo

uderzmy się mocno w pierś i zastanówmy, tak każdy z osobna, ile mamy powierzonych talentów i czy je pomnażamy, czy raczej zakopujemy i puszczamy w niepamięć? Czy będąc urzędnikiem państwowym, samorządowym, wykorzystuję do maksimum powierzony mi urząd w służbie obywatelskiej i społecznej? Czy wykonując zawód lekarza, zrobiłem wszystko, aby pacjent wyzdrowiał, przy tym nie przyjmując wynagrodzenia pieniężnego poza ustalonym w kontrakcie? Czy ucząc w szkole, na uczelni wyższej, prowadząc korepetycje, naprawdę nauczam nie spoglądając na zegarek odmierzający długo upływające minuty, aż w końcu będzie ta upragniona czterdziesta piąta czy sześćdziesiąta, oznaczająca koniec zajęć?

Nasza inicjatywa jest nie tylko ważna dla prywatnych celów, ale także dla dobra wspólnego. Rozliczne przykłady wskazują, że marnowanie własnych talentów, ich ograniczanie, faktycznie niweluje i wręcz unicestwia człowieka jako członka rodziny, społeczeństwa i światłego obywatela. Zamiast ambicji twórczej, rodzi się zależność, podporządkowanie i bierność wobec zmieniającego się niekorzystnie biegu wydarzeń. Będąc w stanie apatii, jesteśmy o krok od poczucia beznadziejności i frustracji. Kiedy przestajemy rozwijać nasze talenty i zatrzymujemy się na jednym i tym samym poziomie, jest to moment, w którym zaczynamy się cofać po równi pochyłej.

Czuwajmy, dokonując samokontroli i samooceny. Nie zakopujemy swoich talentów, ale je pomnażamy. Dwóch będzie w polu: jeden będzie wzięty, drugi zostawiony. Gdyby gospodarz wiedział, o jakiej porze nocy nadejdzie złodziej, na pewno by nie spał i nie pozwoliłby włamać się do swego domu.

Rekord Guinnessa

Niemalże całe swoje dorosłe życie zmagam się z pewną ambicjonalną i słuszną ideą fixe, która nie daje mi spokoju od trzynastu lat. Już dawno bym ją porzucił, gdyby nie mój charakter, który tak się ukształtował, że raz podjętej inicjatywy nie potrafię porzucić, nie potrafię zdradzić, nie potrafię się poddać. Po prostu nie potrafię!

Historia zaczęła się w 1996 roku, gdy byłem studentem Politechniki Rzeszowskiej i przeczytałem w „The Guinness Book of Records” wydanie polskie następujący tekst: „Rekord na najdłuższą serię rozgrywek szachowych w ilości 663 uzyskał Czech, Vlastimil Hort. Grał on nieprzerwanie przez ponad 32,5 godziny w Porz, RFN z 5 na 6 października 1984 roku, jednocześnie z 60 – 100 przeciwnikami. Zwyciężył w ponad 80% gier”.

Eric G. J. Knoppert z Holandii (ur. 20 września 1959 roku) rozegrał 500 10 – minutowych gier z przeciwnikami o średniej 2000 w skali ELO, w dniach 13 – 16 września 1985 roku. Zdobył on 413 punktów, co stanowi 82,6%”.

Po zapoznaniu się z tą wzmianką podjąłem niemalże błyskawiczną decyzję o chęci bicia rekordu Guinnessa w Sandomierzu, a moja propozycja wysłana na londyński adres Guinness Publishing była następująca:

a) rozegranie najdłuższego pojedynku szachowego w historii świata z jednym z sandomierskich szachistów trwającego non – stop 40 h (lub dłużej)

b) lub rozegranie największej ilości partii w historii świata z jednym z sandomierskich szachistów w liczbie 1000 (lub więcej).

Z niecierpliwością czekałem na odpowiedź, która okazała się odmowna i odsyłająca mnie do krajowej Księgi Rekordów Guinnessa. Jej zeskanowany oryginał podaję na końcu tego rozdziału.

Idea fixe upadła, ale nie ja. W 2003 roku udałem się do „Echa Dnia”, oddziału redakcji znajdującego się w Sandomierzu na ulicy Opatowskiej 9. W „Echu Dnia” pracował mój bardzo dobry kolega Andrzej Gajewski (zbieżność nazwisk jest zupełnie przypadkowa) na stanowisku kierownika oddziału redakcji w/w czasopisma, który wyraził zgodę na objęcie patronatem prasowym próby bicia rekordu Guinnessa i ze swej strony zobowiązał się opublikować zapowiedź imprezy oraz relację z jej przebiegu, wraz z listą sponsorów. Ale cóż z tego, kiedy ryby z Urzędu Miejskiego od kultury robiły tylko na niby, a żaby na aby, aby.

W roku 2008 raz jeszcze przemyślałem temat, zebrałem myśli i udałem się do Dyrektora Fundacji Kultury Ziemi Sandomierskiej pana Wojciecha Dumina z moim projektem. Przedsięwzięcie znalazło uznanie także w oczach Naczelnika Oświaty pani Ewy Kondek, gdyż pomysł bicia rekordu w dalszej fazie rozmów rozważaliśmy trójstronnie. Po raz kolejny wypełniłem formularz zgłoszeniowy i pocztą elektroniczną wysłaliśmy do Londynu. Rzecz miała miejsce w miesiącu październiku, a odpowiedzi jak nie było tak nie ma. Wiara i nadzieja umiera zawsze ostatnia, więc... cierpliwie czekam.

Jak bardzo adekwatnym do mojej niemocy przebicia się przez mrok biurokracji i przegrywania z nieubłaganiem mijającym czasem jest dosłowne pytanie w języku, w którym muszę się posługiwać, wysyłając propozycję do Londynu. Brzmi ono: „How old am I?” – „Jak stary jestem?”. W języku polskim czy rosyjskim pytamy: „ile mam lat?” a w języku angielskim czy niemieckim, powtarzam: „jak stary jestem?”. Gdy dzisiaj „patrzę hen za siebie, na te lata,” co minęły, na tę małą historię

próby poderwania skostniałych zaszłości marazmu, to pierwsze, co mi się rzuca w oczy, gdy porównuję poszczególne propozycje i zgłoszenia, to zdania mówiące o moim postępującym wieku: „I am 22 years old”, „I am 29 years old”, „I am 34 years old”. Tłumacząc dosłownie pierwsze zdanie można odczytać jako: „jestem stary – mam 22 lata”, ale tak naprawdę byłem bardzo młodym chłopakiem, bo być młodym znaczy mieć dużo ideałów i nadziei. Drugie stwierdzenie to już stwierdzenie człowieka zaczynającego wchodzić w dorosłe życie związane z pracą, samofinansowaniem, dostrzegającego dużo pozytywnych aspektów życia, ale także już doświadczonego przykrymi niepowodzeniami i walką o być albo nie być na tym łez padole. Trzecia cezura wiekowa charakteryzuje się pełną świadomością, że jest to ostatni zryw dotyczący tej nierozwiązanej kwestii. Teraz albo nigdy, bo coś tutaj „nie gra”. Wszyscy poklepują mnie po ramieniu mówiąc od bez mała trzynastu lat, że jest to bardzo dobry, wręcz na wpół rewolucyjny pomysł związany z promocją Sandomierza, gdyż rekord byłby bity w ratuszu miejskim (zresztą ja nie wyobrażam sobie innego placu boju), straż przy szachownicy pełniliby rycerze Chorągwi Ziemi Sandomierskiej, a nietypowy zegar z jedną wskazówką i tarczą podzieloną na czterdzieści jednostek oznaczonych cyframi od 1 do 40 odmierzalby upływający czas. Relacja radiowa nadawana co godzinę informowałaby całą Polskę o przebiegu i wyniku zmagania oraz byłby uwzględniony przekaz na żywo jednej ze stacji telewizyjnych z podkreśleniem nieprzemijających obrazów przepięknego miasta tak ładnie przedstawionych w odcinkowym filmie pt.: „Ojciec Mateusz”, co pozwoliłoby uwierzyć wielu mieszkańcom prastarego grodu, że miasto to: „My sami”.

Byłaby to także promocja królewskiej gry nawiązującej do chlubnych tradycji Sandomierza występującego w roli gospodarza XXXVII finału indywidualnych mistrzostw kraju kobiet w szachach. Gdyby nam się udało zagrać tę jedną jedyną partię

życia, to wpisalibyśmy nasze miasto na trwałe do Księgi Rekordów Guinnessa, bo te czterdzieści godzin maksymalnego i nadludzkiego wysiłku oznaczałoby ustanowienie rekordu świata w naszym Sandomierzu. Czy my mamy ich tak wiele, że możemy sobie pozwolić na marnowanie takich pomysłów i szans?



GUINNESS PUBLISHING

33 London Road, Enfield, Middlesex, EN2 6DJ. Telephone: 0181-367 4567. Fax: 0181-367 5912.

Jacek Gajewski
Sandomierz 27-600
ul. Ciesli 7/37
Poland

24 September 1996

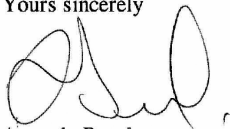
Dear Mr Gajewski

Thank you for your enquiry which we received on 12 August 1996 concerning the longest chess match.

We have examined your proposal in detail, but we are afraid that we have to inform you that what you propose is not currently suitable for publication in The Guinness Book of Records. We receive over 10,000 enquiries a year, and only a very small proportion are used to establish new categories.

We are sorry that we cannot be more positive but thank you again for your enquiry and your interest in The Guinness Book of Records.

Yours sincerely



Amanda Brooks
Correspondence Editor

Guinness Publishing is a business name of Guinness Publishing Limited.

Registered in England, Company Number 541295. Registered Office: 39 Portman Square, London W1H 0EE.

Siedem filarów – czyli fundament pozytywnego wojownika

a. Wiara

Po trzech miesiącach od wyjścia z Egiptu Izraelici, prowadzeni przez Mojżesza, przybyli na pustynię Synaj, aby zawrzeć przymierze z Panem Bogiem. Potwierdzeniem zawartego przymierza były dwie kamienne tablice z dziesięcioma przykazaniami, a pierwsze i najważniejsze brzmiało: „Nie będziesz miał innych bogów przede Mną”. Dekalog – Dziesięć Słów – Dziesięcioro Przykazań jest dla żydów i chrześcijan podstawą wiary, tak jak dla mahometan: „La ilaha illa Allahu wa-Muhammad rasul Allahi” – „Nie ma bóstwa nad Allaha, a Mahomet jest jego Prorokiem” (do tego dochodzą, w przypadku islamu, cztery inne przykazania o poście w miesiącu Ramadan, jałmużnie dla biednych, modlitwie pięć razy dziennie i jednej pielgrzymce w życiu w miarę możliwości do świętego miasta Mekka).

Taka jest wiara trzech religii monoteistycznych, a my, chrześcijanie, jesteśmy wyznawcami jednej z nich. Dlatego sami siebie nazywamy, określamy i traktujemy jako wierzących. Tym się różnimy od ateistów, że życia cielesnego na ziemi nie traktujemy jako wartości absolutnej. Każdy człowiek doświadcza cierpienia i śmierci. Ateista ból i cierpienie traktuje jako upokorzenie, a wierzący widzi w tym sens i wartość. Ateizm jest pustką duchową pozbawioną sensu życia. Takim systemem był marksizm, który zapowiadał, że wykorzeni potrzebę Pana Boga z serca człowieka. System ten traktował człowieka jako część organizmu społecznego, który był całkowicie podporządkowany

działaniu państwa. Obywatele byli pozbawieni własności prywatnej, co powodowało brak możliwości urzeczywistnienia własnej koncepcji przedsiębiorczości. Natomiast w chrześcijańskiej koncepcji społecznej natury człowieka Państwo nie jest jedynym sygnatariuszem jedności, ale także różne grupy takie jak: rodzina, wspólnoty gospodarcze, społeczne, polityczne i kulturalne posiadające własną autonomię. Myśli ludzi wierzących są skierowane centralnie na człowieka, na podmiotowość społeczeństwa, która jest nierozzerwalna z podmiotowością jednostki, a unicestwiona przez „socjalizm realny”. Główna różnica między wierzącym, a ateistą polega na wierze w Jedynego Pana Boga i życie wieczne. Dla niewierzącego śmierć jest ostateczna, a wierzący wierzy w to, co mówi Jezus Chrystus: „Kto chce zachować swoje życie, straci je, a kto straci swe życie z powodu Mnie i Ewangelii, zachowa je”. Liczne są tego świadectwa Nowego Testamentu. Sam Jezus nie waha się poświęcić samego siebie i dobrowolnie składa własne życie w ofierze za nas, aby odkupić nasze grzechy i pokonać śmierć. Ateista próbuje usprawiedliwiać przerywanie ciąży i eutanazję, a jest to niezgodne z odczuciami wierzącego, który wie, że tylko Pan Bóg ma prawo zabierać życie i ożywiać, gdyż sprawuje swą władzę kierując się zawsze i wyłącznie zamysłem mądrości i miłości.

Wiara w Pana Boga jest nieskończona, ale istnieją też wierzenia czysto ludzkie, choćby wiara w drugiego człowieka. Zawierzamy ludziom, powierzamy własny majątek i tajemnice, ponieważ ufamy, że kierują się etyką i zasadami czysto humanistycznymi i humanitarnymi. Choć tzw. „Trzeci Świat” jest ofiarą największych niesprawiedliwości współczesnego świata, ponieważ *nieliczni* posiadają wiele, a *liczni*, choć nie posiadają prawie nic – o czym pisał wielokrotnie Ryszard Kapuściński, to wierzą i liczą na pomoc humanitarną. Współczesny świat to świat hiper-postępu. Kraje wysoko rozwinięte gwarantują swoim obywatelom respektowanie praw człowieka. Wydłuża się średnia długość życia w tych krajach, a same te kraje zbliżają się

do siebie, co powoduje globalną wymianę surowców, usług i idei. Ten postępujący proces globalizacji prowadzi do zachwiania równowagi, wytwarzając bogatą Północ i degradację biednego Południa, a konflikty zbrojne, wirus HIV i głód zbiera swoje żniwo właśnie w tych najuboższych zakątkach świata jak choćby: w Czeczenii, Sudanie, Somalii i Kolumbii. Państwa wysoko uprzemysłowione sterują na wielką skalę środkami produkcji przemysłowej, dyktują możliwie wysokie ceny za swoje produkty, starając się równocześnie o ustalenie możliwie niskich cen za surowce lub półfabrykaty, co powoduje zubożenie najbiedniejszych państw i stwarza coraz bardziej rosnącą dysproporcję w skali dochodu naturalnego odnośnych społeczeństw i potęguje odległość biednych od bogatych bez perspektywy „balance of powers”. W „mojej” szkole rozmawiałem z księdzem misjonarzem, powracającym z misji w Czadzie. Wyjaśnił mi cały proces niemożności dźwignięcia się biednych z niedostatku, podając za przykład właśnie Czad. Słuchaj: „jeżeli w Afryce Środkowej znajdują się złoża bogactwa naturalnego, to dany kraj nie może go zacząć wydobywać, bo nie posiada do tego potrzebnych środków, co powoduje wymuszenie kooperacji z państwem bogatym lub międzynarodową spółką nastawioną oczywiście na zysk. W kontrakcie jest zapis zabezpieczający bogatym 90% zysku ze sprzedaży surowców a pozostałe 10% trafia do prywatnych kieszeni klik rządzących”. Mimo tych kataklizmów przeżywanych przez tych biedaków, ich wiara na lepsze jutro i na zbiórki żywności od drugiego człowieka, zamieszkałego w regionie obfitującym w produkty spożywcze jest nieugięta.

Oprócz wiary transcendentalnej i w drugiego człowieka istnieje wiara w ostateczny sukces sportowy. Każdy sportowiec spędza długie godziny na wyczerpującym treningu, bo ufa i jest święcie przekonany, że jest to jedyna droga do osiągnięcia „miejsca na pudle”. Wiara w możliwość zmiany wyniku w trakcie rywalizacji często decyduje o ostatecznym rozstrzygnięciu.

Jakieś dziesięć lat temu w niedzielę, jak co tydzień, na boisku przy Szkole Podstawowej nr 4 (gdzie zresztą pracuję jako nauczyciel wychowania fizycznego) rozegrano towarzyski mecz piłki nożnej. Moja drużyna przegrywała 0:3 i pozostawało dziesięć minut do końca regulaminowego czasu. Koledzy z drużyny z rezygnacją stali, chcąc jak najszybciej zakończyć ten nierówny pojedynek, ale ja biegałem od jednego przeciwnika do drugiego, starając się przechwycić piłkę. Z jednej strony biegałem, bo co innego było do roboty? Zresztą, to była najskuteczniejsza moja broń, ponieważ umiejętności technicznych zawsze mi brakowało, a ojciec powtarzał: „co jak co, ale zawziętość i ambicję, to tynosisz w sobie”. Ale z drugiej strony, wierzyłem, że można odwrócić bieg wydarzeń. W najnowszej historii powszechnej znane są takie przypadki jak choćby ten, kiedy Szamil Basajew śmiałym rajdem na Budionowsk zmienił losy wojny – tzw. drugiej wojny rosyjsko-czeczeńskiej. Wracając do meczu, to tak biegałem i biegałem z zaciśniętymi zębami, aż w końcu przejąłem piłkę, „obsłużyłem” podaniem partnera z mojej drużyny i zrobiło się 1:3. Tylko jeden gol, a zarazem gol przywracający wiarę, nadzieję, powodujący przyływ energii w całym moim zespole, a konsternację w przeciwnym. Czasu było niewiele, ale zauważyłem z zadowoleniem początek braku odosobnienia w moich staraniach. Mecz się skończył wynikiem 3:3 i zwycięskimi rzutami karnymi teamu, który przegrywał już 0:3. To zwycięstwo zostało wydarte tylko dzięki charakterowi, woli walki i wierze, że nie wszystko jest stracone, wynik przejściowy, a decydentami rozstrzygnięć możemy być my. Nie musimy, ale możemy.

Przeciwieństwem wiary jest brak wiary, niewiara lub zwątpienie. Przed laty byłem zawodnikiem klubu piłkarskiego „Sokół” Jachimowice w klasie B (najniższa). W rundzie jesiennej zespół miał ustawienie 4:4:2, a ja pełniłem rolę środkowego pomocnika, którego zadaniem było harowanie w ataku i obronie od „szesnastki” do „szesnastki”. Cóż z tego, że starałem się jak

mogłem, kiedy drugim środkowym pomocnikiem w naszej „kamandzie” był trzydziestosiedmioletni miejscowy Jasiu desygnowany do gry najprawdopodobniej, dlatego iż... nikt inny nie chciał sypać linii boiska wapnem przed niedzielnymi spotkaniami, gdy byliśmy gospodarzami. W rundzie wiosennej przyszedł nowy trener, zmienił koncepcję gry, a ja nie znalazłem uznania w jego oczach, więc „grzałem” ławki we wszystkich okolicznych wsiach znajdujących się niedaleko Sandomierza aż do ostatniego meczu granego z Iwaniskami albo Tarłowem, kiedy moja drużyna klubowa na własnym boisku w okolicach osiemdziesiątej minuty meczu przegrywała 1:2. Stałem tak obojętnie za boczną linią boiska, gdy zniecierpliwieni miejscowi kibice zaczęli najpierw między sobą a później otwarcie do trenera wyrażać swoje sugestie: „wpuść Dżeja (tak mnie tam nazywali po przekształceniu mojego imienia)”. Myślałem, po co ja wejść? Przez te dziesięć minut ile razy mogę dotknąć piłkę? Może dwa razy? Nastąpiła zmiana wywołana przez wierzący tłumek. Faktycznie dwa razy dotknąłem piłki, a za każdym razem futbolówka lądowała w siatce bramki drużyny przeciwnej, bo to były precyzyjne i dość szczęśliwe strzały z dystansu.

Jeżeli wiarę można dzielić na kategorie lub szufladkować, to należy również wyróżnić wiarę w samego siebie. Istnieje bardzo cienka granica pomiędzy tym rodzajem wiary, a grzechem pychy, który egoistycznie wysuwa na plan pierwszy silnie podkreślone własne „ja”, ekstremalnie nastawione na zaspokajanie własnych potrzeb cielesnych i poszukujące nowych silnych doznań. Wiara w siebie charakteryzuje się tym, że stawiamy na samych sobie, ale mamy mocne argumenty, aby tak sądzić. Idąc na jakikolwiek egzamin i mając świadomość dobrego przygotowania w danej materii, wierzymy, że go zdamy. Ilość i jakość przeżyć oraz wiek wpływa na nasze doświadczenie i daje nam pewność, roztropność oraz rozwagę w podejmowaniu trafnych decyzji. Wierzymy także we własną inteligencję, która nie jest spowodowana mądrością książkową, ale sztuką skojarzenia ode-

rwanych od siebie wydarzeń, wypowiedzi, czynów w logicznie układającą się całość i znalezienie między nimi zależności i współzależności.

Wiara jest filarem filarów. Oddziałuje i odgrywa niepoślednią rolę we wszystkich pozostałych filarach. Może istnieć samoistnie, a mam tu na myśli żywoty wszystkich świętych, jest niezależna poprzez wykroczenie poza wymiar ziemski. Wszystko, co posiadamy, jest darem od Pana Boga. Tak naprawdę „my się nie rodzimy”, to nasz język polski jest nieprecyzyjny w tym stwierdzeniu. Język angielski dokładnie oddaje stan faktyczny, dlatego, że Anglicy powiedzą: „zostałem urodzony”, czyli bez naszej woli i wpływu na czas i miejsce oraz na sam fakt. Tak zadecydował Pan Bóg, a my zostaliśmy powołani do życia. To samo tyczy się śmierci każdego człowieka. Kiedy nadchodzi, zbliża się nieubłagane pora odejścia, to istota ludzka jeszcze raz patrzy i idzie już na zawsze na spotkanie z Stwórcą, a ciało z prochu powstało i w proch się obróci.

Modlitwa, która jest nieodłącznym spoiwem pomiędzy człowiekiem i Panem Bogiem, tworzy z wiarą nierozwalną spójność, często ułatwia realizację innych filarów. Ile razy pomodłę się w intencji jakiegoś przedsięwzięcia, a jest to prośba dobra wspólnego rozumiana w aspekcie społecznych potrzeb, a nie wulgarna o podłożu materialnym typu: „Panie Boże, spraw, abym skreślił sześć właściwych cyfr czy liczb i wygrał w totolotku sporą sumę pieniędzy” (przed taką „modlitwą” przestrzegał kiedyś śp. ksiądz Józef Tischner), ilekroć żarliwie proszę o wsparcie w godzinach próby, tylekroć Bóg w swojej nieograniczonej dobroci udziela mi łaski i dodaje wiary w sekundach największego kryzysu fizycznego i duchowego.

b. Praca

Od zarania dziejów świata stykamy się z pracą. Pan Bóg, jak podaje przekaz biblijny, po stworzeniu nieba i ziemi, zwierząt i człowieka, po sześciu dniach pracy, siódmego dnia odpoczywał. Termin ten jest także nierozzerwalnie związany z historią ludzkości. Praca to celowa działalność człowieka, polegająca na przekształceniu dóbr przyrody i przystosowaniu ich do zaspokajania potrzeb ludzkich. Jest ona warunkiem biologicznej egzystencji (chyba, że ktoś pobiera zasiłek, korzysta z pomocy społecznej, zebrze lub tak dobrze ulokował swój kapitał, że nie musi lub nie może parać się jakimkolwiek zajęciem). W wyniku pracy przekształcamy i podporządkowujemy sobie przyrodę, stwarzając własne środowisko społeczne, własną kulturę i cywilizację. W toku procesu pracy na wszystkich kontynentach (wyłączając oczywiście Antarktydę), ludzie tworzyli swoją historię, co obejmowało wzajemne oddziaływanie na siebie różnych państw i narodów. Praca jest podstawową i swoistą dla człowieka formą aktywności, powodującą kształtowanie, rozwijanie i doskonalenie jego zdolności umysłowych i fizycznych.

Pod pojęciem pracy możemy także rozumieć skalarną wielkość fizyczną, określającą wartość energii wydatkowanej na przemieszczenie ciała materialnego z jednego położenia do drugiego.

Przy omawianiu tego zagadnienia nie wolno nam zapomnieć o pierwszej w historii formie wyzysku, jakim była praca niewolnicza, polegająca na tym, że pewna grupa ludzi, wraz z narzędziami, stanowi własność innych ludzi lub instytucji, którzy mogą nimi swobodnie rozporządzać. Początki niewolnictwa sięgają czasów rozkładu ustroju wspólnoty pierwotnej. Pierwotną formą niewolnictwa było niewolnictwo patriarchalne – niewolnicy pracowali w gospodarstwie domowym wraz z członkami rodziny właściciela, gdzie ich położenie było

względnie zadowolające i stosunkowo łatwo zdobywali status człowieka wolnego przez małżeństwo z wolnym lub usynowienie. W starożytności takie państwa jak Egipt, Asyria i Babilonia знаły pojęcie niewolnika będącego własnością władcy i służącego w świątyni. Jednak w tym okresie to Grecja i Rzym zniewały ludzi w celu wykorzystywania ich pracy w kopalniach, kamieniołomach, a nazywano tych biedaków „żywymi narzędziami”, „rzeczami”. W okresie średniowiecza niewolnictwo było marginalnym zjawiskiem w Europie, choć były wyjątki w postaci Imperium Osmanów. Z rozkazów władców tego kraju brano w jasyr chrześcijan, gdyż islam zabraniał zamieniać współwyznawców w niewolników. Młodzi brańcy chrześcijańscy i poddani sułtana pochodzenia nietureckiego tworzyli regularną, doborową piechotę turecką, a jej piechurzy zwani byli janczarami. W czasach nowożytnych, po wielkich odkryciach geograficznych, duży zasięg przybrało niewolnictwo na kontynencie amerykańskim, głównie w związku z powstawaniem tam wielkich plantacji. Pierwsza znana nam grupa niewolników murzyńskich przybyła do Ameryki Północnej do stanu Wirginia w 1619 roku. Handel niewolnikami osiągnął punkt szczytowy w XVIII i w pierwszej połowie XIX wieku. W Stanach Zjednoczonych Ameryki niewolnictwo zniesiono podczas wojny secesyjnej (abolicjonizm). Walka z niewolnictwem została podjęta z inicjatywy Ligi Narodów, na mocy jednej z konwencji z 1926 roku, nawołującej do zniesienia niewolnictwa w państwach, gdzie jeszcze ono istnieje. Uchwalona przez ONZ Deklaracja Praw Człowieka ogłosiła w artykule czwartym, że niewolnictwo i handel niewolnikami w każdej postaci jest zakazany. Czy i dziś świat jest wolny od niewolniczej pracy? Wspomnę tylko dwa zagadnienia i poddam każdemu do refleksji: przetrzymywanie kobiet z Europy Środkowej i Wschodniej w domach publicznych Europy Zachodniej bez jakichkolwiek dokumentów, przymuszanych do wykonywania nierządu oraz głośne wypadki ist-

nienia obozów pracy we Włoszech, gdzie byli przetrzymywani nasi rodacy.

Trochę innym kuriozum jest fakt zgotowania sobie losu niewolnika wykonywanej pracy z własnej nieprzymuszonej woli. Bo jak inaczej można nazwać człowieka spędzającego cały dzień w pracy, który wygląda następująco:

5 ⁰⁰	pobudka i ranna gimnastyka (pompki).
6 ⁰⁰ – 7 ³⁰	prowadzenie dwóch indywidualnych lekcji pływania na basenie
8 ⁰⁰ – 13 ³⁵	prowadzenie zajęć w szkole w charakterze nauczyciela
14 ⁰⁰ – 22 ⁰⁰	dyżur na stanowisku ratownika WOPR

Ta kwadratura koła trwa dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, przerywana dwoma krótkimi urlopami w roku. Tak, to prawda: stałem się niewolnikiem pracy, tworząc sobie „trójkąt bermudzki”, zamknięty na przestrzeni jednego kilometra kwadratowego i wyglądający następująco: dom->basen->szkoła->basen->dom. Zatracam przy tym kontakt ze światem zewnętrznym i z nadrzędną wartością pracy, jaką jest podmiotowość człowieka. Autorzy podręcznika do języka hiszpańskiego dla ludzi posługujących się językiem polskim pt. „Gente” – „Ludzie”, w tekście zatytułowanym: „Vivir para trabajar o trabajar para vivir” – „Życie dla pracy, czy praca dla życia” przytoczyli opinię Hiszpanów jednoznacznie opowiadających się za drugim członem pytania. Prawdą jest, że jesteśmy powołani i przeznaczeni do pracy, ale praca powinna służyć człowiekowi, a nie człowiek pracy. Praca mimo wszystko powinna być przedmiotowa, a my musimy podkreślać swoją podmiotowość. Cel pracy nie może posiadać znaczenia ostatecznego sam w sobie, a jest to bardzo często pieniądź, budzący powszechne zainteresowanie, a nierzadko emocje, służący przede wszystkim do ułatwienia wymiany dóbr – jak to opisuje Ryszard

Kiersnowski w książce „Moneta w kulturze wieków średnich” – i będący przedmiotem wielu wyrzeczeń i zmartwień. Na usprawiedliwienie siebie, pracującego około 350 godzin w miesiącu mogę podać tylko jeden argument: „taka jest wysoka cena rozwoju”, którą muszę i na razie jestem skory płacić. W obronie pieniądza można tylko tyle stwierdzić, iż stanowi wartość nabywczą nie tylko dóbr konsumpcyjnych, ale też pośrednio wiedzy, nauki i pozwala zachować godność oraz niezależność wobec innych ludzi o nieczystych zamiarach, chcących uczynić z nas swoich niewolników. Nasza znojna i uczciwa praca zamieniana na pieniądz i używana w konstruktywnych działaniach jest naszą tarczą i mieczem.

Filar pracy – nie zamieniany na kult pracy, na bożka, który byłby „antyfilarem” wiary – lecz użyty w sposób pragmatyczny, praktyczny, wyważony i zgodny z etyką, jest podstawą ekonomiczną pozostałych filarów, wpływając w zależności od jego nominalnej wielkości na ich możliwość rozwoju. Kiedyś mój bardzo dobry znajomy zapytał mnie: – Jacek, dlaczego nie kupisz samochodu? Pojeździłbyś sobie. – Mieciu, bo to byłby typowy snobizm. Po co mi samochód? Po to tylko, żebym mógł pochwalić się, że go mam? Wszędzie chodzę na piechotę, a na odloty z warszawskiego Okęcia wiezie mnie tata, bo po przylotach wracam autobusem”.

Jednym z najtrudniejszych rodzajów pracy jest praca nad samym sobą ze względu na nasze słabości i naturę ludzką, co wiąże się z próżnością każdego człowieka. Żyjemy z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień bez wielkich wzniesień i upadków, a czas płynie jak rzeka, aż powodowani jakimś bodźcem, głosem wewnętrznym, czujemy chęć przerwania impasu, znużeni szarością powszednią i powszechną. Czujemy potrzebę reformowania własnych zachowań, przyzwyczajzeń, a nawet zmiany najbliższego towarzystwa. Wyznaczamy sobie cel będący poza widnokresem i szkicujemy kierunki marszruty. Ja jestem zwolennikiem planów pozytywistycznych tj. pracy u podstaw i pra-

cy organicznej. Tworzymy świeże i nowe koncepcje, a sami siebie zmuszamy do działania. Choć początek zmian jest potworną męką, a na efekty trzeba długo i cierpliwie czekać, licząc na nierozzerwalność powiązanych ze sobą współzależnością pojedynczych ogniw, zaczynamy pokonywać zakręt wydający się pierwszym i jednocześnie ostatnim. Niestety, po każdym kolejnym zaliczonym zakręcie pojawia się następny, a światełko w tunelu – choć widoczne i możliwe do osiągnięcia – wciąż jest zbyt odległe na nasze możliwości w danym czasie.

Będąc w technikum budowlanym (gdzie wylądowałem za sprawą mojej licealnej nauczycielki języka angielskiego – z perspektywy dwudziestu lat stwierdzam, że językoznawcą była dobrym, ale metodykiem żadnym), podjąłem próbę zmiany osobistego *status quo*. W tamtym okresie bardzo prężnie działały kontakty pomiędzy zaprzyjaźnionymi miastami: Sandomierzem i Emmendingen, na wszystkich szczeblach, włącznie z wymianą młodzieży, potwierdzone dwustronnymi umowami, podpisanymi przez najwyższe władze wymienionych miast. Aby móc przyjmować rówieśnika Niemca lub Niemkę należało znać język niemiecki lub angielski. Obserwowałem z nieukrywaną lekką zazdrością, jak moi koledzy z liceum gościli rówieśników z Niemiec i wyjeżdżali z rewizytą do Emmendingen, aż pod granicę francusko-szwajcarsko-niemiecką. Postawiłem sobie zadanie – ja również włączę się do tej „zabawy”. Nakreśliłem plan, sprowadzający się mniej więcej do takich podstawowych założeń: zero wyjść do kawiarni i zapisuję się na kurs języka angielskiego dla początkujących. Brzytwa Okhama przecinająca wieczorne wyjścia towarzyskie załatwiła dwa priorytety: pieniądze na miesięczne opłaty i czas na cowieczorną naukę. Po roku intensywnego studiowania języka Anglosasów na tyle go opanowałem, że gdy i moje technikum budowlane podpisało dokumenty o partnerstwie ze szkołą niemiecką o podobnym profilu, mogłem już bez jakichkolwiek przeszkód znaleźć się w gronie szczęśliwców wytypowanych do reprezentowania naszej pla-

cówki edukacyjnej. Owocem wyjazdów do Emmendingen była moja późniejsza praca przy winobranii i kilkakrotne wizyty towarzyskie u Achima – kiedy przejeżdżałem koło tego miasta, będącego bodźcem do zmiany wcześniejszego trybu rozumowania i funkcjonowania.

c. Podróże

Gdy byłem dzieckiem, jeszcze w czasach „nieboszczki” komuny, moi rodzice wyjeżdżali na „handel” na Ukrainę, Węgry, do Rumunii. Po ich powrocie pytałem z zaciekawieniem: „Tata, a jak tam jest i jak *te Rumuny* gadają?”. To był dla mnie świat nieznanymi, nieosiągalnymi, tajemniczymi, kryjącymi wiele pytań. Rodzice również mieli ograniczone pole manewru, ponieważ paszport był rzeczą trudno osiągalną, a kto okazał się szczęśliwym posiadaczem tego dokumentu, w zamian musiał zostawić swój dowód osobisty w miejscowym komisariacie milicji obywatelskiej. Ta milicja była obywatelska tylko z nazwy, bo jej zadaniem nie było służyć społeczeństwu, ale organom bezpieczeństwa, która to bezpieka raz zdobytej władzy miała nie oddać nigdy. Te ograniczenia wyjazdowe wynikały nie tylko z braku paszportu, ale także z niemożności wjazdu do krajów Zachodu z powodu braku wiz wjazdowych. Uszczuplona, ściśle obwarowana ustaleniami z góry, była legalna możliwość wymiany złotówki na marki, leje, forinty, korony czy lewy, skrupulatnie odnotowywane w książeczce walutowej. Polacy mimo piętrzących się utrudnień odwiedzali kraje bloku wschodniego, a wczasy w Bułgarii cieszyły się ogromnym powodzeniem.

Będąc w Bieszczadach spoglądałem z rozrzuwieniem przez lornetkę na przygraniczne wsie Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i oczami wyobraźni widziałem życie codzienne ludzi po tamtej stronie granicy. Wychodząc na szczyt

Rysów pytałem ojca: „A jakbym tak skręcił ze szlaku i poszedł do Czechosłowacji, to ktoś by się kapnął?”. Tata zawsze mnie strofował, żebym się nie wrywał przed orkiestrę: „Trzymaj miejsce w szeregu, przyjdzie czas, to pojedziesz”. Cała grupa szła dalej, a ja jeszcze kilka razy spoglądałem na tamtą stronę.

Kiedy miałem trzynaście lat, nadszedł wreszcie ten pierwszy upragniony wyjazd do sąsiedniej Czechosłowacji – obecnie Słowacji – na kolonie letnie. Tuż przed przejściem granicznym serce mi „waliło”, mało nie dostałem palpitanji. Na granicy polsko-czechosłowackiej do autokaru kolonistów najpierw wszedł żołnierz czechosłowacki zaglądając to tu, to tam, potem celnik i... do samego hotelu oddalonego od przejścia granicznego o jakieś sto kilometrów, nos miałem przyklejony do bocznej szyby tak, że żadna siła nie była mnie w stanie oderwać, a wynieść musieliby mnie razem z fotelem przytwierdzonym do podłogi śrubami.

Do dzisiaj przechowuję książeczkę walutową, gdzie jest odnotowana wymiana złotych na trzysta koron czechosłowackich. Przed wyjazdem mama sporządziła mi listę potrzebnych artykułów spożywczych – cała kartka była zapisana od góry do dołu rzeczami, które miałem kupić. Wchodzę do pierwszego sklepu spożywczego po zakupy i... mało nie zemdlałem na widok różnic w zaopatrzeniu pomiędzy naszym południowym sąsiadem a nami. Półki uginały się od smakowitych łakoci: zelki, gummy do żucia, jakie tylko dusza zapagnie (a ja na początku lat osiemdziesiątych opakowanie z Bolkiem i Lolkiem po gumie do żucia wahałem jeszcze przez tydzień przypominając sobie smak), czekolady o różnych rozmiarach, batoniki, bomboniere, draże w czekoladzie o innych różnych smakach. Ludzie nie stali w gigantycznych kolejkach, bo tych kolejek po prostu nie było, no, może trzy, cztery osoby przy kasie. Jakże te wystawy nie przypominały „peerelowskich”, zaopatrzonych jedynie w chleb, ocet, śmietanę i dwa rodzaje mleka: chudsze ze srebrnym kapslem i tłusciejsze z kapslem żółtym. Do dziś mam przed oczami

obraz, jak w pierwszej klasie szkoły podstawowej (1981 rok) nasza pani wychowawczyni powiedziała, że są talony na buty. Głównym uprawnającym warunkiem dostania talonu był fatalny stan butów zmiennych, które w owym czasie mieliśmy na nogach. Kto miał dziurę w bucie i wystawała mu skarpeta, miał wyjść na środek sali pod tablicę. Klasa liczyła ponad trzydzieścioro dzieci. Pod tą tablicą znalazło się około dwudziestu pięciu dzieciaków! Jaka to była radość, kiedy na drugi dzień rano spojrzeliśmy po sobie nawzajem, ubrani w obrzydliwe, koloru „sraczkowatego”, jednakowe chińskie tenisówki o białych podszwach.

Wracając do tego sklepu słowackiego: po kilkuminutowej przerwie przed sklepem, ochłonąwszy trochę, korzystając ze ściągawki wydałem prawie wszystkie korony, a za ostatnie sześć kupiłem sobie piwo i usiadłem na zaciętej ławeczce, popijając je ukradkiem, bo przecież nie byłem pełnoletni. Siedząc tak, obserwowałem przypadkowych przechodniów, nie mogąc zrozumieć jak to jest, od czego to zależy, że różnice mogą być tak ogromne i dwa kraje dzieli przepaść pod względem zaopatrzenia sklepów. Dopiero po kilku latach uświadomiłem sobie zgubny wpływ utrzymywania drugiej armii pod względem liczebności w Układzie Warszawskim przez Polską Rzeczpospolitą Ludową i co to znaczy priorytet gospodarki nastawionej na przemysł ciężki, a nie na dobra konsumpcyjne.

Mając lat piętnaście, w 1989 roku, doznałem podobnych odczuć, przebywając w Niemieckiej Republice Demokratycznej, z tą różnicą, że u zachodniego socjalistycznego brata widziałem, co to znaczy niemiecka precyzja i jakość wykonania młynków do kawy, mikserów, wiertarek oraz przekonałem się o jakości i trwałości wyprodukowanej tam odzieży. Co prawda nie rozumiałem istnienia na obszarze NRD innego organizmu państwowego otoczonego jakimś Murem Berlińskim i że jadąc z Berlina Wschodniego do Poczdamu musimy omijać jakiś Berlin Zachodni (nikt wtedy nie informował o blokadzie Berlina Zachod-

niego i przybyciu w latach wcześniejszych do tego miasta prezydenta Stanów Zjednoczonych Johna Kennedyego, który wypowiedział słynne słowa: „Ich bin ein Berliner” – „jestem Berlińczykiem” i kazał utworzyć most powietrzny zaopatrujący mieszkańców we wszystko co niezbędne), a Niemcy z Republiki Federalnej Niemiec w naszym obozie w miejscowości Erkner są poubierani tak „luzacko” w obszarpanych dżinsach, ale ten przepych techniczny był urzekający. Po powrocie do domu długo zastanawiałem się dlaczego młodzież z NRD „trzymała” z nastolatkami z RFN, przecież w szkole nam wpajali, że kraje socjalistyczne są bratnimi narodami a ci z Zachodu wrogami. Miałem polityczną mapę ówczesnej Europy i któregoś dnia wypaliłem głupie pytanie: „Tata, a my to z którymi Niemcami wygramy II wojnę światową, z NRD czy z RFN?”.

Po podróżach w kierunku południowym i zachodnim przyszedł czas na kierunek wschodni. Musiało to być już po puczu Janajewa i rozpadzie Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, ponieważ jadąc do Lwowa po zdaniu przeze mnie egzaminu na prawo jazdy kategorii B, co dawało uprawnienia do prowadzenia samochodów osobowych i dostawczych, przekraczałem granicę polsko-ukraińską. Moim współpodróżnym był Marek – muzyk jadący do Lwowa na bazar po ...psy rasowe, będące chodliwym towarem w Perugii. W Perugii Marek miał siostrę, która wyszła za mąż za miejscowego Włocha. W sumie, całe to przedsięwzięcie było jego biznesem, a ja zarabiałem jako, kierowca mając możliwość zobaczenia Ukrainy i w niedalekiej perspektywie południa Europy. Na bazarze wszystkie transakcje przebiegły bez większych komplikacji i powrót wydawał się równie udany. Zaplanowaliśmy przekroczenie granicy w Medyce, a szlaban przed przejściem był oddalony o kilka kilometrów pod pozorem nietarasowania i niezaśmieciania samego przejścia granicznego. Stoimy przed tym szlabanem godzinę, dwie, trzy, nie przesuwając się do przodu ani o metr, a ruch samochodów sunie nieprzerwanie w obie strony jezdni. Na po-

czątku wydawało się to dziwne, jak to możliwe, jednakże wpłata dziesięciu dolarów na prywatne konto pilnującego szlabanu żołnierza przyspieszyło włączenie się naszego auta do kolumny samochodów zmierzających do Polski. Dojechalśmy do przejścia granicznego, wyciągnęliśmy paszporty i odprawę celną odbylibyśmy bez dodatkowych atrakcji, gdyby nie psi ogon, wystający spod kurtki Marka, co nie uszło uwadze ukraińskich celników. Po drugiej stronie granicy czekałem na niego dwanaście godzin do momentu zmiany służb celnych i możliwości wpłaty cła na „prywatne” konta.

Po trzech tygodniach pieski zostały podkarmione, podlezione, podrosły – więc zabieramy je do Włoch, a trasa prowadzi przez Bratysławę, Wiedeń, Graz, Klagenfurt, Wenecję. Tygodniowy pobyt w Perugii pozwala zregenerować siły i Marka finanse, więc udajemy się na zwiedzanie Rzymu i Watykanu, a w drodze powrotnej namawiam go, żeby pojechać gorszą drogą, ale przez San Marino.

Republika San Marino jest jednym z najmniejszych (po Watykanie i Księstwie Monako) państw europejskich. Jego centralny punkt stanowi znajdujące się w odległości ok. 15 kilometrów od Adriatyku malownicze wzniesienie, Monte Titano. Niewielką powierzchnię San Marino – sześćdziesiąt jeden kilometrów kwadratowych – zamieszkuje około dwadzieścia cztery tysiące osób. Językiem urzędowym jest język włoski. Stolica kraju San Marino to niewielka miejscina, bo licząca zaledwie około cztery tysiące dwieście mieszkańców, położona na zachodnim stoku wzgórza Titano. Obejmuje najcenniejszą spuściznę całego kraju i stanowi centrum historyczne i administracyjne. Miasto zbudowano na trzech charakterystycznych wzniesieniach, na których stoją trzy najstarsze twierdze obronne. Znając ten opis z przewodników i książek historycznych, prowadziłem starego volkswagena golfa z wymienionym silnikiem z pojemności 1300 cm³ na 1600 cm³, co było najprawdopodobniej przyczyną ciekącego oleju uzupełnianego co 100 kilometrów już od

dłuższego czasu. W czterdziestostopniowym upale zbliżamy się do umownej granicy pomiędzy Włochami a San Marino. Stał tam jeden z przedstawicieli straży twierdzy Rocca – utworzonej jako specjalny korpus w 1754 roku i po latach nieistnienia przywróconej na wniosek Państwowej Organizacji Turystycznej w 1956 roku. Zadaniem tej jednostki, na czele której stoi kapitan, jest ochrona granic państwa oraz ochrona ratusza. Nacisnąłem pedał hamulca, zatrzymałem się, a z rozgrzanego silnika zaczęły wydostawać się kłęby dymu. Strażnik odmówił nam prawa wjazdu do San Marino. Marek, jako że ważył sto dziewięć kilogramów i już wcześniej zwiedzał tę republikę, stanowczo odmówił asystowania mojej osobie w dalszej pieszej wędrówce, dając mi sześć godzin na rekonesans, a sam pozostał w samochodzie na granicy. Była godzina czternasta, słońce prażyło niemiłosiernie, a ja biegłem pod górę z aparatem i dokumentami w rękę do stolicy San Marino. W samym centrum zrobiłem zdjęcia, obejrzałem starą zabudowę i zbiegłem na dół. W międzyczasie, korzystając z mojej nieobecności, Marek zdrzemnął się, więc mogliśmy kontynuować nasz powrót do ojczyzny.

„Gdyby ktoś powiedział: stary, czy masz czas?, potrzebuję do załogi jakąś nową twarz...”. Po niespełna rocznej edukacji na Politechnice Rzeszowskiej i dość skutecznym uporaniu się ze strukturami Wojska Polskiego (bo „kamasze” w moim przeświadczeniu na pewno uwierałyby mnie niemiłosiernie w nogi), rozpocząłem okres przygotowań do egzaminu wstępnego na Wyższą Szkołę Humanistyczno-Przyrodniczą w Sandomierzu, przerwany pod koniec kwietnia kuszącą propozycją pojechania tirem ...do stolicy Uzbekistanu – Taszkientu, do firmy Coca-cola z plastikowymi butelkami. Butelki wyglądały jak próbki do badań laboratoryjnych, a ich wielkość usprawiedliwiała możliwość załadunku dużo większej ilości przy minimalnej objętości. Dopiero na miejscu wyładunku miano wpuścić do środka ciepłe

powietrze powodujące osiągnięcie przez butelki wymaganych pojemności – litr, półtora litra, dwa i pół litra, itd.

Konwój składa się z dwóch samochodów renault – każdy o mocy trzystu czterdziestu koni mechanicznych i trzech kierowców: Waldek (około 32 – 35 lat), Damian (21 lat) i ja (22 lata). Robimy zapasy jedzenia, porządek z dokumentami, zabieramy kilka numerów czasopism erotycznych (nie dla naszej rozrywki oczywiście – bo co to za tandetna rozrywka), zmienne ubrania i ruszamy w niebezpieczną drogę liczącą czternaście tysięcy kilometrów.

Stoimy trzy doby przed Brześciem, wjeżdżamy na teren Białorusi i przez Mińsk docieramy do miejscowości Orsza, a następnie wita nas swoimi przestrzeniami Federacja Rosyjska. Historię Rosji pod tym właśnie tytułem przedstawił Ludwik Bazylow i Paweł Wieczorkiewicz (znałem go osobiście) ale mnie najbliższymi opracowaniami tej części świata są: „Od białego caratu do czerwonego” (t. 1-7 napisane w latach 1923 – 1935) Jana Kucharzewskiego (premiera rządu powołanego przez Radę Regencyjną), gdzie autor przedstawia cały przekrój wszystkich warstw społecznych od carów do zniewolonych chłopów, mentalność człowieka moskiewskiego, rosyjskiego i radzieckiego; oraz fundamentalne dzieła Ryszarda Kapuścińskiego: „Imperium” i „Kirgiz schodzi z konia”, poruszające i przedstawiające wątki systemowo-społeczno-mentalnościowe.

Federacja Rosyjska jest największym krajem na świecie. Dwie-trzecie części tego rozległego kraju są słabo zaludnione (o te przestrzenie i klimat roztrzaskała się Wielka Armia Napoleona i zbrodniczy Wermacht Adolfa Hitlera). Mozaikę ludów stanowi sześćdziesiąt różnych narodowości, które można podzielić na cztery główne grupy językowe. Grupa indoeuropejska – władająca językami, które rozwinęły się w Europie i południowej Azji – liczy około sto pięćdziesiąt milionów ludzi, mówiących po rosyjsku i obejmuje zdecydowaną większość ludności od Morza Bałtyckiego po Ocean Spokojny. Pozostałe trzy

grupy językowe to: grupa ugrofińska rozproszona w lasach i tundrze na północy, grupa języków tureckich rozpowszechniona w południowo-wschodniej Europie i Azji oraz grupa kaukaska obejmująca języki zachodniego Kaukazu jak również bardzo odmienne języki wschodniego Kaukazu, np. czeczeński, inguski i dagestański. Po upadku Związku Radzieckiego, przemierzając Wspólnotę Niepodległych Państw – bo taka nazwa była wtedy obowiązująca – (zastaliśmy inflację, bezrobocie, Rosjan żyjących na granicy ubóstwa (dokarmianych przez nas nieprzerwanie na każdym postoju aż do wyczerpania zapasów żywności)) i bezdomnych. Przed każdą najmniejszą miejscowością na jej rogatkach i za nią był rozstawiony posterunek milicji (GAI – Gosudarstwiennyj Awtomobilnyj Instytut lub MAI czy DAI – choć to zbieg okoliczności, ale polscy kierowcy robili adekwatne porównania z czasownikiem istniejącym w naszym języku, a mianowicie – *dawać*) kontrolujący wszystkich wyjeżdżających i wjeżdżających, co czyniło podróż uciążliwą z powodu częstego stania w kolejce i wnikliwej kontroli, nie wiadomo czemu służącej, gdyż przepisy były często wymysłem kontrolujących, a zmierzającej do jednego – łapówki. Łapówka może przybierać różne formy i stanowić powód długich targów i przekomarzań. Do wyobraźni milicjantów najbardziej przemawiają dolary, ruble, ale także – szczególnie w Kazachstanie, Kirgistanie i Uzbekistanie, oprócz ichniejszej waluty: tiengie i sumów – gazety o zabarwieniu pornograficznym. W Kazachstanie zasady kultury osobistej i *savoir-vivre*'u nie były obce stróżom „prawa”. Po zatrzymaniu tira, otwarciu drzwi od strony pasażera, dokonywali głębokiego ukłonu niemalże do samej ziemi ze skrzyżowanymi rękami na piersiach i w tym samym czasie wypowiadali nabożnie – „salemalejkum”, my odpowiadaliśmy: „malejkum as salam”, po czym gdy minęły chwile wzajemnej adoracji i wymiany grzeczności, musieli dostać w „prezencie” dary. Kiedy pokazywaliśmy wywinięte kieszenie spodni na lewą stronę, oznaczające brak czegokolwiek, rozglądali się bacznie po kabinie i znaj-

dowali dla siebie „padarok” czy „suvenir” w postaci pluszowego misia-maskotki, światełka przytwierdzonego do przedniej szyby, a jak już naprawdę nie było co zabrać, wyciągali ostatni długopis leżący w schowku. Na południu Kazachstanu na jednym z takich prowizorycznych punktów kontrolnych zorganizowanych stał milicjant Kazach, zatrzymujący jedynie Europejczyków, bo ubzdurał sobie w swojej małej azjatyckiej głowie ze skośnymi oczkami, że ci kierowcy na pewno mają deficytowy towar w krajach muzułmańskich, jakim są prezerwatywy, a on nieszczęśnik ma cztery żony i coś może począć bidulka. Straciliśmy wtedy z nim ze dwie godziny oferując inne drobiazgi. W końcu zrozumiał i puścił nas w dalszą drogę.

Dobrze oddaje klimat tych kontroli służb mundurowych w byłym Związku Radzieckim Ryszard Kapuściński w „Imperium”: „w okienku młody żołnierz ...szuka wroga. Wróg nie ma swojej kwalifikacji wypisanej na czole, przeciwnie – wróg jest zamaskowany. Zadanie więc polega na tym, żeby go zdemaskować. W tej właśnie umiejętności szkolą mojego żołnierza i tysiące jego kolegów. Oto macie sto zdjęć, mówi sierżant, wśród nich jedno jest szpiega. Kto odgadnie, tydzień urlopu. Chłopcy wpatrują się, wpatrują, pot występuje im na skronie. Tydzień urlopu!... Oczywiście w ogóle nie trafiają, bo pośród tych stu nie było żadnego szpiega... Czy, można sobie wyobrazić świat bez szpiegów? Myśl żołnierza pracuje, szuka, przenika. Jedno jest pewne – szpieg chce się tu dostać za wszelką cenę, prześliznąć, przemycić... Tylko pytanie – który to on spośród dziesiątków ludzi...?”

Jadąc przez Moskwę, Riazan docieramy do Togliatti (nazwane tak od nazwiska włoskiego komunisty) do 1964 roku Stawropol, położony nad Wołgą, gdzie znajdowały się największe zakłady samochodowe w całym „Sajuzie”, produkujące sześćset sześćdziesiąt tysięcy samochodów osobowych rocznie (ziguli, łada). Był to rejon niezwykle niebezpieczny z uwagi na przybywanie z całego imperium potencjalnych nabywców tych

samochodów i związanej z tym żerującej mafii. Na mapie Euroazji góry Ural wydają się cienką linią biegnącą z północy na południe, ale żeby ją przekroczyć, musieliśmy wstać przed świtem w Ufie, stolicy Baszkirii, i jadąc bez żadnych przerw na posiłki (poza krótką na zrobienie zdjęć przy pomniku oznaczającym granicę między Europą a Azją), pokonując kilometrowe wzniesienia i podjazdy, otoczeni ścianami lasów Zachodniej Syberii, mając kłopoty z wyhamowaniem przy dymiących hamulcach, dojechaliśmy po zmroku do miasta Czelabińsk. Po kolejnych kilku dniach opuszczaliśmy Rosję, mając w pamięci tamtejszą milicję, wszechobecną wódkę, wpisaną w życie codzienne ukrytą prostytutkę, biedę i żebractwo oraz niezrozumiałe systemy zarządzania przedsiębiorstwami. Przykład rosyjskiej przedsiębiorczości: na „stajance” czy „parkowisku” zwróciliśmy uwagę na to, że rosyjscy kierowcy jeżdżą we trzech w kamazie albo zile w dalekie trasy. Zapytaliśmy:

- Pacziem u wy jezditie wo trioch?
- „Maszyna ma rabotat, nie atdychat”.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby faktycznie jechali dzień i noc, ale gdy tylko zapadał zmrok, zjeżdżali na parking i kładli się spać. Pensje w przedsiębiorstwie były wypłacane trzy co miesiąc dla kierowców tego samochodu, a wydajność mieli taką, jakby jeden tylko jeździł. Może tutaj leżała jedna z przyczyn kłopotów gospodarczych tego molocha rozciągniętego od Brześcia do Władywostoku, Sachalina, Kuryli.

Do Republiki Kazachstan wjechaliśmy niedaleko Pietropawłowska. Przyjrzyjmy się jej uważniej.

Kazachstan rozciąga się w Azji Środkowej, od Morza Kaspijskiego na zachodzie do Chin na wschodzie. Na północy graniczy z Rosją, na południu z Turkmenistanem, Uzbekistanem i Kirgistanem. Kazachstan jest drugim po Rosji, pod względem wielkości, niepodległym państwem powstałym z dawnych republik radzieckich, zajmował ważne miejsce w ZSRR ze względu na obecność na swoim terenie poligonów jądrowych i kosmo-

dromu Bajkonur. Zachodnią część kraju zajmuje depresyjna Nizina Nadkaspijska, od południowego wschodu ograniczona wyżynami. Część środkową i wschodnią wypełnia znacznie zrównane Podgórze Kazachskie, oddzielone od południa Kotliną Bałchasko-Ałakolską od łańcuchów gór Tien-szan, Tarbagataj i Dżungarski Ałatu. Południowe krańce kraju zajmują pustynne obszary Kyzyl-kum, a północne – skraj Niziny Zachodniosyberyjskiej.

Klimat umiarkowany kontynentalny charakteryzuje się dotkliwymi mrozami w zimie i wielkimi upałami w lecie. Ponad dwie trzecie powierzchni Kazachstanu zajmują pustynie lub półpustynie. Leżące w centrum kraju jeziora oraz położone na zachodzie bagna są zasolone, w środkowej części kraju występuje kilka stałych rzek. Trawiaste stepy na północy stanowią najżyźniejsze regiony kraju.

Nazwa Kazachstan wywodzi się od Kazachów, plemion, które w XV wieku w wyniku walk wyodrębniły się z chanatu uzbeckiego i w dorzeczu rzeki Czu założyły samodzielny chanat. W XVIII i XIX wieku ich imperium rozpadło się i zostało stopniowo opanowane przez Rosję. Począwszy od 1916 roku nowo wyzwoleni rosyjscy i ukraińscy chłopcy osiedlali się na żyznych stepach północy. Rewolucja w Rosji w 1917 roku umożliwiła dojście do głosu kazachskim organizacjom narodowym. Po krwawej wojnie domowej, na początku 1920 roku, Armia Czerwona opanowała większość terytorium. W 1936 roku kraj wcielono do ZSRR jako republikę związkową. Podczas II wojny światowej do Kazachstanu ewakuowano wiele zakładów przemysłowych z europejskiej części ZSRR. Kazachstan był również miejscem zesłania Polaków z terenów wschodniej Polski po napaści Związku Radzieckiego 17 września 1939 roku.

Ustrój radziecki stawał się coraz bardziej represyjny, a pod koniec lat trzydziestych ubiegłego wieku ludom tradycyjnie koczowniczym narzucono kolektywizację, zmuszono je do osia-

długo trybu życia i hodowli bydła na farmach. Wielu ludzi zbiegło wówczas z Kazachstanu do Chin i Afganistanu. Decyzja władz radzieckich o wykorzystaniu kazachskiej pustyni do przeprowadzania eksperymentów z bronią jądrową, w ramach programu podboju przestrzeni kosmicznej, również spowodowała degradację środowiska. Osłabienie władzy centralnej pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia przyczyniło się do odnowienia narodowych sentymentów. Fakt, iż Kazachstan odmówił uznania radzieckiego puczu w 1991 roku, w znacznej mierze przyczynił się do rozpadu ZSRR. W tymże roku Kazachstan proklamował niepodległość i podpisał deklarację o przystąpieniu do Wspólnoty Niepodległych Państw (obecnie już oczywiście nie istniejącej). Dzisiaj w Kazachstanie żyje prawie tyle samo rodowitych Rosjan co Kazachów, ponadto występują inne grupy etniczne, w tym Polacy. Mieszanina ludów jest przyczyną konfliktów narodowościowych.

Z Pietropawłowska udaliśmy się do Karagandy, mijając osamotnione i rozrzucone na ogromnych przestrzeniach wioski, w tym i polskie skupiska ludności. W jednej z takich wiosek, zamieszkałych przez Kazachów, dokonaliśmy tankowania pojazdów. Oprócz stojących na pustyni co sto kilometrów „stacji benzynowych” (to znaczy na zdezelowanym starym ziele był umocowany olbrzymi zbiornik z paliwem pompowanym pompką ręczną, a obsługę stanowiło trzech kierowców), mijając niepozorną kołchoźniczą wioskę widziało się mężczyznę z wystawioną ręką wykonującą ruch góra – dół i wystawionym kciukiem skierowanym w asfalt. Widząc naganiacza, zatrzymujemy się, bo nasze „kotły” mieszczące czterysta litrów ropy są prawie puste. Każdy samochód posiadał dwa takie zbiorniki paliwa, więc rachunek jest prosty – potrzebowaliśmy dla dwóch samochodów prawie tysiąc sześćset litrów ropy skradzionej z pobliskiego kołchozu. Naganiacz wskazując na kilka chałup, proponuje abyśmy tam wjechali. Odpowiedzieliśmy gestem pukającego palca w głowę, więc on zamaszystym, zapraszającym, półko-

listym ruchem zachęcił swoich ziomków do wyjścia z ukrycia, bo miejscina na pozór wydawała się wyludniona. Ruszyli całą ławą w naszym kierunku, a dzieliło nas około trzysta metrów. To było prawdziwe pospolite ruszenie: mężczyźni na taczkach wieźli duże metalowe beczki, starcy na dwukółkach ciągnęli kanistry, a dzieci plastikowe bańki wypełnione żółtym mętnym płynem. Zrobił się taki jarmark, że trudno było opanować to nagłe zamieszanie przerywające tak jeszcze niedawno panującą tu absolutną ciszę. Jeden Kazach nie mogąc delikatnie wyciągnąć korka z beczki, zapałł się i z całych sił pociągnął. Korek co prawda puścił, ale uderzył go w czoło, z którego zaczęła ciurkiem płynąć krew. On jednak nie zważając na ten drobiazg, dalej zawzięcie tankował. Po godzinie zbiorniki paliwa były pełne i przyszło do zapłaty rachunku. Dwa klany zatankowały jeden z kotłów i końcówka należności wynosiła dziesięć dolarów. Nie można było jednej z rodzin zostawić tych dziesięciu dolarów, aby się później podzieliły, tylko musieliśmy szperać w kabinie i znaleźć dwa razy po pięć dolarów – po równo. Do tej pory nie odgadłem, czy był to wyraz ich analfabetyzmu (to wydaje mi się jednak mało prawdopodobne, choć nie wykluczone), czy raczej braku zaufania nawzajem do siebie mimo życia w tych kilku marnych chatach jako jedna społeczność.

Zaopatrzeni w paliwo zbliżaliśmy się do jeziora Bałchasz. Bałchasz to bezodpływowe jezioro w Kotlinie Bałchasko-Ałakolskiej o długości sześćset pięć kilometrów, szerokości do siedemdziesięciu czterech kilometrów i głębokości do dwudziestu sześciu metrów. Brzeg północny, gdzie się zetknęliśmy po raz pierwszy z tym jeziorem, był wysoki, skalisty, natomiast południowy niski, piaszczysty, porośnięty trzcina. To na tym brzegu południowym podczas kąpieli Damian wyskoczył z wody z okrzykiem: „krokodyl!, krokodyl mnie goni!”. Postanowiłem sprawdzić tego domniemanego gada. Podpłynąłem do miejsca, skąd on rozpoczął swoją ucieczkę i zobaczyłem ...starą oponę samochodową umieszczoną w dnie zbiornika wodnego. Oprócz krokodyla zaskoczeniem było to, iż objeżdżając

wschodni brzeg i kupując od miejscowych rybaków handlujących przy drodze suszoną rybą na śniadanie, czuliśmy smak słonej ryby. Pod wieczór, gdy na stole pojawiła się suszona ryba z lepioską (ichniejszy rodzaj chleba) zakupiona od rybaków z południowego brzegu jeziora, smak ryb zmieniał się ze słonego na słodki. Podążając dalej na południe w kierunku Czimkentu, zahaczamy o Kirgistan niedaleko Biszkieku (stolica Kirgizji wcześniej znana pod nazwą Frunze), o czym informuje nas nie tylko szczegółowa mapa, ale również napotkany hodowca kóz posiadający wysoką białą baranią czapkę. Niestety, nie udaje mi się zawrzeć transakcji, ponieważ pięć dolarów za potwornie brudne nakrycie głowy wydawało mi się zbyt wygórowaną ceną. Do dzisiaj żałuję braku zdecydowania. Pralka doprowadziłaby czapkę do pierwotnej bieli, a tak to już nigdy więcej nie miałem sposobności nabyć części tradycyjnego stroju kirgiskiego i moja kolekcja zawierająca ponad trzydzieści eksponatów czapek z różnych części świata musi się obejść bez tej jednej. Przed Czimkentem spędziliśmy noc w najprawdziwszej jurcie służącej jako przenośny dom mieszkalny dla wędrownych pasterskich rodzin kazachskich.

Wjeżdżając do Uzbekistanu mamy świadomość przebiegającego w przeszłości przez ten kraj legendarnego jedwabnego szlaku do Chin.

Taszkient jest oddalony o kilkadziesiąt kilometrów od granicy z Kazachstanem, więc nie mamy kłopotów z pokonaniem tej krótkiej odległości, ale nie unikamy ich w fabryce Coca-coli, bo po rozładowaniu naczepy okazało się, że nie ma kto zapłacić cła za przywieziony ładunek. Dziesięć dni minęło na targach, nerwowym oczekiwaniu na pozytywny wynik rozmów i szczegółowym zwiedzaniu stolicy Uzbekistanu, aż mogliśmy w pełni usatysfakcjonowani opuszczać państwo, gdzie Józef Stalin dokonał jednej z największych zbrodni na środowisku naturalnym w dziejach ludzkości. Wody Syr – darii i Amu – darii, zostały zawrócone i zamiast płynąć do Morza Aralskiego, były źródłem nawadniania pól bawełny. Jak Uzbekcy „zarobili” na tym prze-

kwalifikowaniu gospodarki, to opisuje już kilkakrotnie cytowany na kartach tej książki Ryszard Kapuściński, w „Imperium”. Co gorsza, intensywne nawadnianie spowodowało dramatyczne obniżenie się poziomu Jeziora Aralskiego i w rezultacie zniszczenie lokalnych gospodarstw rybackich.

W drodze powrotnej granicę uzbeckańska-kazachstańska przekraczaliśmy „na pusto”. Kiedy staliśmy w kolejce w rozciągniętym sznurze tirów, mijali nas tubylcy w tradycyjnych czapkach zwanych „tubitiekami”, swoimi dwukółkami załadowanymi siankiem i trawką zaprzęgniętymi w osiołki. Robiłem im zdjęcia oraz uwieczniałem na kliszy samo przejście graniczne, stojąc przezornie w dość bezpiecznej odległości. Nie afiszowałem się z tym „cykaniem” zdjęć, bo chciałem uniknąć kary nieodpłatnego tygodniowego sprzątnięcia i czynienia prac porządkowych w obrębie budek celniczych.

Przed nami było siedem tysięcy kilometrów drogi powrotnej, ale nikt nie wraca samochodem ciężarowym, który pali około trzydzieści litrów ropy na sto kilometrów, bez załadunku. „Szczęście”, jak się później okazało, sprzyjało nam. Spotkaliśmy doświadczonego polskiego kierowcę.

– Stary, gdzie tu można „załatwić” ładunek, żeby nie „gonić” auta darmo?

– Musicie pojechać do Ałma-Aty (ówczesna stolica Kazachstanu) i na drugim „parkowisku” po lewej stronie, wjeżdżając z kierunku zachodniego, zatrzymacie się i pójdziecie na portiernię, dzwoniąc pod ten numer, który wam podyktuję.

Na przedmieściach ówczesnej stolicy Kazachstanu odnajdujemy drugą „stajankę”. Idę do portiera, który bez zbędnych ceregieli ochoczo podaje mi telefon stacjonarny (o telefonii komórkowej wtedy jeszcze nikt prawie nie słyszał). Wykręcam numer spisany na wydartej naprędce kartce z zeszytu i słyszę zachrypnięty głos w słuchawce:

– Słucham, kto mówi?

– Chciałbym rozmawiać z Lazarem.

- Lazar już dawno tu nie pracuje.
- Dziękuję, do widzenia.
- Hm...

Wracam do ciężarówki, gdzie na mój powrót oczekiwali Waldek z Damianem.

- Ale nas ten Polak nabrał!
- Jak to nas nabrał?
- To chyba jakiś lewy numer. Lazar już dawno tam nie pracuje.

Konsternacja i zawód, co tu dalej robić? Zaczynamy przygotowywać obiad z przekonaniem, iż z pełnym żołądkiem rozważania będą bardziej owocne. Strugamy ziemniaki, otwieramy konserwę mięsną, obieramy pomidory gdy „patichońku” podjeżdża do nas biała łada, a z niej wysiada dwóch dobrze zbudowanych panów, tak zwanych „karków”.

- Słyszeliśmy, że potrzebujecie powrotny załadunek.
- Tak, potrzebujemy.
- Za trzy godziny przyjedziemy tutaj, bądźcie gotowi.
- Będziemy.

Pojęliśmy w mig, że tak naprawdę żaden Lazar nie istnieje, a wszystko działa w ten sposób, że kiedy ktoś dzwoni z portierni, wymieniając imię wirtualnego Lazara, imię-hasło, portier słysząc to, a potem odprowadzając wzrokiem dzwoniących, zapisuje numer rejestracyjny samochodu kontrahentów, a następnie informuje kogo trzeba.

Po trzech godzinach pojawiła się znowu wspomniana łada, a nieprzerwany długi konwój ciężarówek o wszystkich możliwych rejestracjach z Europy Środkowej i Wschodniej ruszył za nią w kierunku granicy z Chinami. Po kilku godzinach wolnej i męczącej jazdy, przerywanej licznymi posterunkami milicji, opłacanymi sowicie wódką i kartonami papierosów przez naszych przewodników-ludzi mafii uzbrojonych w broń automatyczną, dotarliśmy do obozu znajdującego się w lesie. Wysokie mury i drut kolczasty naszego miejsca postoju wskazywał na specyfikę położenia. Byliśmy tam przetrzymywani (bo już nie

było drogi odwrotu) przez okres prawie dwóch tygodni, poznając przebywających tam Słowaków, Czechów, Białorusinów, Litwinów, Rosjan, Ukraińców, Bułgarów (około pięćdziesięciu samochodów stało na placu) tworzących zgrany kolektyw podczas wieczornych biesiad przy ognisku, piekących barana na ogniu i jednocześnie czekający na mafijny towar z Chin, mający trafić na bazar w Moskwie. Z tego obozu udawało nam się wymknąć trzy razy i poznać młodzież maturalną z miasteczka leżącego opodal naszego miejsca postoju. Skorzystaliśmy z ich zaproszenia wzięcia udziału w akademii z okazji pomyślnego zdania egzaminu końcowego w szkole średniej. Aula była ogromna, mogła pomieścić może nawet tysiąc osób. Wystrojeni rodzice, dziadkowie i rodzeństwo oraz grono pedagogiczne i uczniowie tej szkoły oraz my – kilku międzynarodowych obdartusów. Cała akademia odbywała się w języku rosyjskim, mimo, że była to stolica Kazachstanu, ponieważ ludność rosyjskojęzyczna nic by nie rozumiała, gdyby językiem przewodnim był język kazachski. W tym ostatnim zaśpiewano tylko jedną piosenkę i wyrecytowano jeden wiersz. Mnie najbardziej spodobała się będąca wtedy na topie piosenka „Szkolnaja para” odśpiewana przez mikrofon przy akompaniamencie gitary akustycznej.

W tym samym obozie przebywał Słowak, którego szef wysłał do Duszanbe, stolicy Tadżykistanu. Ludność Tadżykistanu stanowi etniczną mieszankę złożoną z Tadżyków, Uzbeków, Rosjan i Tatarów. Bardzo często w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku dochodziło tam do zamieszek na tle etnicznym i ten nasz nieszczęsny Słowak z Żyliny trafił na taki ferment. Nie wiadomo kto i za co go okradł, zostawiając mu praktycznie tylko Liazkę z naczepą i ostatnią koszulę, a efekt był taki, że jego jedyną szansą szczęśliwego powrotu do domu było wzięcie ładunku do Moskwy. Często w nocy budził nas wszystkich przerażający krzyk dochodzący z jego kabiny, śniły mu się koszmary poprzednich tygodni, to budziło lęk i obawy, a zarazem było bardzo smutne. Ten nastrój – spowodowany długim czasem

oczekiwania i niepewnością jutra oraz doskwierającym brakiem pieniędzy i odzieży – powoli udzielał się wszystkim. Nawet piękny widok gór Tien-szan, leżących już w Chinach, a oglądanych codziennie przez nas z ich ośnieżonymi szczytami, nie łagodził przygnębienia. Pod koniec drugiego tygodnia, gdy wielu z nas przypominało bezdomnych w obszarpanych łachmanach i z długimi brodami, z potarganymi kołtunami obozową ciszę przerwał krzyk: „Chińczycy, Chińczycy jadą!” Przyjechali tatrami po brzegi burt wyładowanymi wielkimi paczkami. Mówiono nam, że to koszulki i trampki chińskie, ale co tak naprawdę wieźliśmy do stolicy Rosji, nie dowiedzieliśmy się nigdy. Może i dobrze, bo dzięki temu najprawdopodobniej mam teraz sposobność kreślić te słowa. Dzień po przybyciu Chińczyków w obozie pojawili się właściciele biznesu, a byli to: Ormianie, Azerbejdżanie i Rosjanie. Każdy z nich dobierał sobie kierowcę wraz z jego samochodem, uzgadniając cenę za przewóz i dodając ochroniarza z bronią załadowaną na ostre naboje, aby strzegł towaru w trasie przed zakusami innych, ale pewnie także dlatego, aby żadnemu szoferowi nie wpadł do głowy głupi pomysł skrętu w boczną uliczkę w celu upłynnienia zawartości naczepy zanim trafi ona do miejsca docelowego. Przejeżdżając przez bramę wjazdowo-wyjazdową zrobiłem znak krzyża, zaczynając słowami: „W imię Ojca, i Syna...” i dotykając palcami ręki czoła. Mało to się nie skończyło tragicznie dla mnie, ponieważ stojący obok strażnik myślał, że to jemu pokazuję „kuku na muniu”. Zaczął krzyczeć, zdejmując jednocześnie karabin z ramienia i rzucając się w pogoń za mną. Nie miałem wyjścia, gaz do dechy, bo zanim bym mu wytłumaczył kanony wiary chrześcijańskiej, wpakowałyby mi cały magazynek w głowę. Ochroniarz siedzący w szoferce tuż obok mnie podczas dalszej podróży wielokrotnie mnie napominał o zbyteczności tej mojej „gestykulacji” w obecności różnowierców. Chiński asortyment znajdujący się pod plandeką (ponad dwadzieścia ton) spowodował złamanie wszystkich piór wewnętrznych w resorach nacze-

py, zostawiając tylko w spokoju pióra górne i dolne. Przez te tysiące kilometrów do Moskwy codziennie z Waldkiem i pilnującym wstawaliśmy o czwartej nad ranem i podnosiliśmy naczepe podnośnikami, aby móc włożyć pniaki drzewa owinięte gumą, żeby sprężynowały, skręcone drutem, pomiędzy pióro górne i dolne każdego resoru z osobna. Ścisłej rzecz ujmując, to my z Waldkiem budziliśmy się, bo trzeci kompan podróży nigdy się nie kładł spać. Zawsze czuwał oparty o swój karabin z zamkniętymi oczami, wiedząc ile razy byliśmy wyprzedzeni, a ile razy nas wyprzedzono. Na nasze zdziwienie odpowiadał lakonicznie, że to przypadłość po wojnie w Afganistanie.

Po znojnnej drodze powrotnej, przebiegającej przez miasta poznane przez nas w niedalekiej przeszłości, dotarliśmy do Moskwy na umówiony bazar, rozliczając się z zadowolonym właścicielem i żegnając byłego żołnierza Armii Radzieckiej. Stolica atomowego mocarstwa, choć oddalona od granicy z Polską o jakieś tysiąc sto kilometrów, wydawała się bardziej europejska niż ponad siedem tygodni temu, a odległość jakaś taka nieznaczną. Wzdychając z Waldkiem w poczuciu ulgi i odprężenia mówiliśmy: „no, teraz to już jesteśmy prawie w domu”.

Ciężarówka znowu była rozładowana, więc należało ją na nowo załadować. Tym zajął się już mój „drug” doli i niedoli ostatnich dwóch miesięcy przez około czternaście tysięcy kilometrów. Ja natomiast spotkałem dwóch Węgrów, obywateli Słowacji, z którymi poznałem się w Ałma-Acie, i z nimi odbyłem ostatni etap podróży, spiesząc się na egzamin wstępny na Wyższą Szkołę Humanistyczno-Przyrodniczą w Sandomierzu. Mimo najszczęśliwszych intencji i chęci, spóźniliśmy się o jeden dzień, bo na przeszkodzie stanęła konieczność stania w kolejce oczekujących na wjazd do Polski. Egzamin zdałem w drugim terminie we wrześniu, a wspomnień i przeżyć tamtych różnorodnych dni z Azji nie zabierze mi nikt do grobowej deski, bo są nieprzemijające do dnia dzisiejszego.

W moich podróżach, największe zaskoczenie spotkało mnie w Tunezji. Powodem nie były fakty ogólnie znane o położeniu nad Morzem Śródziemnym między Algierią i Libią i uzyskaniu niepodległości w 1956 roku dzięki rokowaniom prowadzonym przez Habibe ibn Burgibę z kolonizatorami francuskimi. Podobizna pierwszego przywódcy wolnej Tunezji była umieszczona w ramach we wszystkich urzędach, sklepikach i restauracjach obok narodowej drużyny piłki nożnej z jej ówczesnym trenerem Henrykiem Kasperczakiem. Ilekroć byłem pytany: „Where do you come from?”, odpowiadałem: „I come from Poland”, a oni: „yes, we know, Henryk Kasperczak”.

Tunis i Kartagina pozostawiły niezatarty ślad w mojej pamięci, choć nie taki jak spotkanie z dwoma obywatelami Niemiec mieszkającymi na stałe w Hamburgu. Poznaliśmy ich w mieście portowym Sousse (Susa), gdzie przy głównej arterii znajdował się nasz hotel. Pokoje były dwuosobowe, z łazienkami, balkonami, aneksami kuchennymi i klimatyzacją, działającą bez zarzutu w upalne dni i noc. Z moim bratem ciotecznym Arturem mieliśmy wykupioną wersję konsumpcyjną, oznaczoną symbolem HB, co w praktyce znaczyło: śniadania i obiadowe kolacje – szwedzki stół, przez cały dwutygodniowy pobyt w Tunezji. Jadalnia znajdowała się na pierwszym piętrze hotelu, będącego raczej hotelikiem; to był taki interes rodzinny, a nie kooperacja gigantów finansowych, co nadawało charakteru kameralności, spokoju i ciszy.

Na drugi, może trzeci dzień od naszego przylotu, jadłem lekkie śniadanko w towarzystwie brata (kawa, słodkie rogaliki) w niemalże pustej sali. Niemalże, bo trzy stoliki dalej siedziało dwóch Niemców, prowadzących wydawało się luźną rozmowę przerywaną od czasu do czasu jakimś kęsem. Ten bliżej nas, młodszy, Jan (wiem, jak miał na imię, bo się później przedstawił) o szczupłej sylwetce miał około czterdziestki, a drugi o imieniu Hartmud – „kawał chłopca, miał ponad sześćdziesiątkę. Najpierw wymienialiśmy spojrzenia, później uśmiechy, ktoś zagad-

nał, oni się przysiedli. Ten starszy znał język angielski (po czasie się okazało, że i perfekcyjnie także język francuski), a jako że z naszego tandemu Artur władał tym językiem bieglej ode mnie, oni we dwóch prowadzili konwersację, a my z młodszym Niemcem przysłuchiwaaliśmy się i od czasu do czasu wtrącaaliśmy pojedyncze zdania. W trakcie rozmowy zwierzyli się nam, że ich przyjazd był nagły i nieplanowany w tym terminie do Sousse, choć to miasto już jedenastokrotnie wizytowali, bo to ich ulubiony wakacyjny kurort. Zdziwiła nas ta regularność ich przyjazdów.. Gdy wstawaliśmy od stołu, zagadnęli jeszcze o nasz stosunek do mniejszości seksualnych. My, zgodnie z odczuciami i przekonaniem, odpowiedzieliśmy, że nic do tych mniejszości nie mamy, tak jak i do żadnych innych, a przy tym zapewniając o przynależności do „większości”.

Kolejne dni przynosiły przypadkowe spotkania z nowo poznanymi kolegami. To mijaliśmy się w recepcji, to spotykaliśmy w drodze na plażę. Rozpaleni słońcem za dnia i schładzający się wieczorami, spacerujący bulwarem liczącym kilka kilometrów, gdzie spotykała się cała społeczność miejscowa i turystyczna „by widzieć i być widzianym”. Podczas spacerów zwróciłem uwagę, że młodzi Tunezyjczycy często trzymają się za ręce i przytulają. Po tygodniowym pobycie znowu spotkaliśmy Niemców przy śniadanku, ale tym razem to my dosiedliśmy się do ich stolika, żeby zaczerpnąć „języka” od bardziej doświadczonych bywalców w tym państwie, bo przyznają się „coś nam tu nie grało do końca”. Zaczynamy po angielsku:

– Jan, jak to możliwe, że słabo mówisz po angielsku? W Niemczech Zachodnich może nie wszyscy, ale bardzo duży odsetek ludności zna ten język.

– Bo tak naprawdę to ja mieszkałem w Polsce na Pomorzu do dwudziestego szóstego roku życia, a dopiero od jedenastu lat przebywam w Niemczech wykonując zawód pielęgniarski.

- ???... to ty przecież doskonale znasz polski! Dlaczego przy pierwszej naszej rozmowie nie przyznałeś się? – to pytanie wypowiedziałem już w języku ojczystym.
- Bo wiedziałem, jak to się skończy. Teraz nasze rozmowy będą odbywały się ze mną, a ja będę musiał tłumaczyć Hartmudowi. Tego właśnie chciałem uniknąć, no, może odwlec w czasie.
- A Hartmud gdzie pracuje?
- On jest nauczycielem muzyki w szkole muzycznej. To wykształcony człowiek. Mieliście okazję przekonać się o jego dobrej znajomości angielskiego.
- Czy zwróciłeś uwagę na bliskość, trzymanie się za rękę, wzajemne obejmowanie i taki na mój gust bezpośredni kontakt Tunezyjczyków względem siebie?
- To są pary homoseksualne. Bardzo często każdy z nich ma przyjaciela, a kobieta „służy” do podtrzymania gatunku. Spotkać tu można pewną liberalizację stosunków do spraw seksu, mimo że islam jest panującą religią w tym kraju. Zakazane są dwie rzeczy: polityka i narkotyki. Zwróćcie uwagę przebywając na plaży na ...łapanki. Podjeżdża więźniarka i na chybił trafił wybiera np. trzech nieszczęśników, aresztując ich bez konkretnych zarzutów i powodów. Zbierający się tłum gapiów przygląda się temu z bezpiecznej odległości, tworząc krąg o dużym promieniu. Ludzie, zebrani w tym kręgu uśmiechają się z lekka, gdyż tym razem nie na nich trafiło. Jest to takie działanie prewencyjne władz poprzez policję, powodujące poczucie zagrożenia, zastraszenia i dające do zrozumienia, że nikt nie może czuć się do końca bezpieczny i bezkarny, bo władza jest czujna, silna i zdecydowana. Abyście lepiej poznali i poczuli klimat śródziemnomorski, zapraszam na spacer po starej części miasta, gdzie wam pokażę prawdziwe oblicze tego miejsca. Tych wiadomości nie wyczytacie w przewodnikach turystycznych. Nasze częste przyjazdy są potwierdzeniem panujących tutaj wolności seksualnych, bo choć ja jestem w stałym związku z moim przy-

jacielem w Niemczech, to Hartmud, mimo iż ma rodzinę: żonę i córkę, to kontaktów gejowskich szuka właśnie w Tunezji, co nie stanowi żadnego problemu, tylko po co łązi na tę plażę wieczorami, przecież mogę mu zwolnić pokój na kilka godzin.

– O.K., dziękujemy za tę pogładową lekcję geograficzno-społeczną.

– Do wieczora. Po kolacji pójdziemy na „starówkę”.

Wstali i odeszli jak gdyby nigdy nic. Spojrzałem na Artka, nawet nie spostrzeżliśmy, że kawa dawno już wystygła, ale i tak nie było sensu próbować jej dopijać, bo mielibyśmy kłopoty z jej przetykaniem. Mieliśmy taki bałagan w głowach, że chyba sam Salomon by tego nie poukładał. Spędzilibyśmy dwa tygodnie na wczasach i mielibyśmy te same wiadomości co zdecydowana większość turystów, a tak, idąc wieczorem z Janem i Hartmudem, widzieliśmy te same obrazy, co zwykle, ale przedstawiające zupełnie inne czarno-białe treści. To samo, ale już nie w kolorze.

Byłem na trzech kontynentach, widziałem jeszcze: Czechy, Węgry, Rumunię, Bułgarię, Grecję, Szwajcarię, Francję, Holandię, Belgię, Wielką Brytanię, Hiszpanię, Andorę, Maltę, Litwę, Łotwę i Estonię ale takiej grozy sytuacji jak w ostatniej podróży, gdzie nic na to nie wskazywało, nie przeżyłem nigdy i nigdzie.

W styczniu 2008 roku podczas ferii zimowych przebywałem na półwyspie Synaj w Egipcie. Hotel znajdował się w znanym kurorcie Sharm el Sheikh – Zatoka Szejka (walory turystyczne tej miejscowości odkryli Żydzi podczas okupacji półwyspu), po uprzednim zwiedzeniu: Luxoru, Karnaku, Hurghady, Kairu, piramid w Giza, pobycie na Pustyni Libijskiej i Pustyni Arabskiej – to w części afrykańskiej Egiptu i Dahabu oraz Gebel Musa (góra Mojżesza) wraz z klasztorem świętej Katarzyny, leżącym u jej podnóża, a posiadającym na swej posesji Gorejący Krzew opisany w Bibli i związany z cudem, gdyż sam Pan Bóg przemówił do Mojżesza przez ten krzew – w części azjatyckiej

Egiptu. Któż nie zna historii, kultury i cywilizacji Starożytnego Egiptu? Na poszczególnych szczeblach drabiny edukacyjnej, począwszy od szkoły podstawowej, poprzez średnią, a na egzaminie rocznym na wyższej uczelni kończąc, zapoznałem się z meandrami wiedzy o państwie faraonów.

Będąc w Sharm el Sheikh przezornie i z rozmysłem zrezygnowałem z wycieczki fakultatywnej do Jerozolimy i Betlejem, gdyż na letnie wakacje miałem wykupioną wycieczkę do Turcji i Syrii, a Syryjczycy nie tolerują tych, którzy kiedykolwiek przebywali w państwie legendarnych: Dawida i Salomona.

Koszmar holokaustu w czasie II wojny światowej przyspieszył emigrację Żydów do Palestyny. W 1947 roku Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych zatwierdziło, wbrew sprzeciwom państw arabskich, projekt podziału Palestyny na dwa państwa: arabskie i żydowskie. Od dnia ogłoszenia powstania państwa Izrael 14 maja 1948 nie ustają konflikty zbrojne z arabskimi sąsiadami w latach: 1948, 1967, 1973. Izrael wychodził z nich zwycięsko, poszerzając swoje terytorium o nowo zdobyte ziemie: Strefę Gazy, Zachodni Brzeg Jordanu (ze wschodnią Jerozolimą) oraz wzgórze Golan, będące integralną częścią Syrii. Właśnie o te wzgórze Golan trwa stan wojny i to jest jedną z głównych przyczyn nastawienia Syrii do Izraela, nie wspominając już o kwestii szpiegostwa, wywiadu i kontrwywiadu.

Nie mogłem natomiast odmówić sobie podróży do Jordanii. Z Sharm el Sheikh ruszyliśmy o świcie autokarem. Droga biegła wzdłuż wschodniego brzegu półwyspu Synaj. Dotarliśmy do przygranicznej miejscowości Taba. Po drugiej stronie granicy znajdował się Izrael, a jedno z jego miast, portowy Ejlat, widać było jak na dłoni. My jednak odprawiani byliśmy przez służby celne Egiptu i zafrachtowani na prom z załogą jordańską. Płynęliśmy przez Zatokę Akaba, omijając przezornie wody terytorialne Izraela. Dopłynęliśmy do punktu, z którego jednocześnie można było zobaczyć cztery państwa. Z lewej, nieco z tyłu,

oddalające się wybrzeże egipskie, z lewej izraelskie, na wprost jordańskie, a z prawej strony rozciągały się skały znajdujące się na terytorium Arabii Saudyjskiej.

Dobiliśmy do brzegu Jordanii, będącą monarchią konstytucyjną. Głową państwa jest król wybierający premiera, radę ministrów oraz czterdziestu członków wyższej izby parlamentu. Osiemdziesięciu członków niższej izby jest wybieranych w wyborach powszechnych. W 1992 roku została zalegalizowana działalność partii politycznych. W 1994 roku Jordania podpisała porozumienie z Izraelem i nawiązała z nim stosunki dyplomatyczne.

Kolejna odprawa graniczna przebiegła bez zakłóceń i wsiadając do autokaru w Akabie w towarzystwie jordańskiego przewodnika, podążyliśmy górską drogą z zalegającym śniegiem na jej poboczach (co jest w tamtych stronach rzadkością) do Petry.

„Miasto Czerwonej Róży” – Petra, wyrzeźbione w różowym piaskowcu nubijskim, zostało wzniesione przez Edomitów około 1000 roku p.n.e. Zachwyciło nas jedną z najlepiej zachowanych części, jaką jest kompleks świątyń ze słynnym „Skarbem” (Al – Chazana), który jest prawdopodobnie grobowcem jednego z ostatnich nabatejskich władców.

Droga powrotna biegła tą samą trasą i pozbawiona była jakichkolwiek niespodzianek. Jordania była warta tych trzech setek dolarów, ale ile tak naprawdę miała mnie kosztować, to miałem się przekonać w niedalekiej przyszłości, powtórnie przyjeżdżając na Bliski Wschód. Póki co region o dużym stopniu ryzyka napawał mnie optymizmem.

Dzieci wesoło wybiegły ze szkoły po raz ostatni w roku szkolnym 2007/2008 trzymając w rękach świadectwa i cenzurki. Była trzecia dekada czerwca. Wsiadłem w samolot lecący na trasie Warszawa – Antalya. Z Antalyi do nadmorskiego kurortu Alanya sto dwudziestokilometrową autostradę pokonaliśmy autobusem w ciągu niespełna dwóch godzin. Trzygwiazdkowy

hotel „Monte Carlo” był dla mnie niezwykle gościnnym hotelem, oferując bez dodatkowych dopłat opcję all inclusive zamiast zamawianej HB – śniadania i obiady-kolacje w formie bufetu. Tydzień mi minął w sielankowej atmosferze, spowodowanej między innymi wyborną, słoneczną pogodą i świetnymi warunkami do uprawiania sportów wodnych, połączonych ze zwiedzaniem bajecznych zatoczek Morza Śródziemnego w jego części wschodniej.

Ósmego dnia stałego pobytu opuściliśmy gościnnie hotel i rozpoczęliśmy rajd do Syrii. Pierwszy dzień spędzamy w Side, którego historia sięga VII wieku p.n.e. Droga do miasta wije się wśród ruin. Zwiedziliśmy tam teatr rzymski, mogący pomieścić dwadzieścia pięć tysięcy osób. Po drugiej stronie teatru wznosiły się rzymskie łaźnie. Godne obejrzenia były fragmenty świątyni Apolina i Ateny, skąd roztaczał się widok na soczystobłękitne morze. Z Side udaliśmy się do Konyi, gdzie zachwycamy się Mevlana Tekkesi – ośrodkiem wirujących derwiszów, który powstał około 1231 roku. W sercu kompleksu budynków mieści się grób założyciela zakonu, Celaddina Rumiego, zwanego przez wyznawców Moulaną (nasz Pan). Derwisze dążyli do mistycznego zjednoczenia z Bogiem poprzez pieśń oraz taniec. Chrześcijańska ludność Anatolii również otacza ich szacunkiem, ponieważ Moulana nawoływał do tolerancji, przebaczenia i poszukiwania oświecenia. Zakon derwiszów rozwiązano w 1925 roku na rozkaz Ataturka (ojca Turków). Trzecim etapem marszruty jest Tarsus, gdzie jeden z jego mieszkańców – Żyd, faryzeusz Szaweł – doznał objawienia w drodze do Damaszku. Nawrócił się i przyjął imię Paweł. Tam, gdzie stał jego rodzinny dom, robiłem zdjęcia studni św. Pawła, której woda ma podobno uzdrowicielską moc, a jej czystość jest codziennie badana. Kolejnym etapem była Adana, usytuowana czterdzieści kilometrów na wschód od Tarsus. Jest to czwarte co do wielkości miasto w Turcji (po Stambule, Ankarze i Izmirze), liczące ponad dziewięćset tysięcy mieszkańców i szczyci się imponującym Saban-

ci Merkez Camii (Główny Meczet) – ogromną, nową (z 1999 roku) budowlą o białych marmurowych ścianach. Większy jest tylko meczet Suleymaniye w Stambule. Merkez Camii ma sześć minaretów, wysoką na pięćdziesiąt jeden metrów kopułę i może pomieścić trzydzieści tysięcy wiernych. Ten meczet oglądaliśmy późnym wieczorem, stojąc na rzymskim moście. Byłem w doskonałym humorze, choć wilgotność powietrza była bardzo uciążliwa. Po przenocowaniu w hotelu mieliśmy dość wczesną pobudkę o czwartej nad ranem, bo trzeba było jechać w kierunku średniowiecznej Antiochii.

Po kilku godzinach moim oczom ukazał się wschodni brzeg Morza Śródziemnego, za nami było siedemset kilometrów z Alanyi, a przed nami średniowieczna Antiochia, gdy raptem usłyszałem wydobywający się z głośnika głos naszej przewodniczki: Kto z państwa posiada w swoim paszporcie stemple lub bilety komunikacji miejskiej z Izraela lub pieczętkę z miasta Taba, nie będzie mógł kontynuować jazdy razem z nami, gdyż narazi się na nieprzyjemności ze strony władz syryjskich. Na moment zamarłem oszołomiony tą informacją. Zaraz zatrzymaliśmy się przy przydrożnym barze na kawę. Wziąłem mój paszport i poszedłem do przewodniczki, siedzącej przy wspólnym stoliku z jednym z trzech kierowców tureckich i pokazałem pieczętkę z Taby. Kierowca odstawił filiżankę i wykonał gest ręką, dzierżąc w niej mój dokument, pokazujący przyszłe zachowanie żołnierza syryjskiego oznaczające wrzucenie go do kosza z jednoczesnym wpisem mojego imienia i nazwiska do pamięci komputera o niemożności w przyszłości przekraczania przez moją osobę granicy Syrii i konwojowanie taksówką przez strefę pasa niczyjego znajdującego się pomiędzy dwoma sąsiadującymi państwami na mój koszt w wysokości nie mniejszej niż sto dolarów. Koniec przerwy, wsiedliśmy z powrotem do autokaru, a ja zacząłem główkować na wszystkie sposoby, co robić w tym beznadziejnym położeniu. Wpadłem na pomysł naklejenia polskich znaczków pocztowych na feralne stemple oraz wydarcie

ponumerowanej kartki. Pani przewodnik co prawda pochwaliła moje logiczne myślenie, jednocześnie jednak zaznaczyła, że te „numery” są znane po tamtej stronie granicy. Średniowieczna Antiochia to ostatni epizod podróży z rodakami, bo nasz rezydent w międzyczasie zadzwonił na syryjskie przejście graniczne z zapytaniem czy wraz z drugą Polką, znajdującą się w identycznej sytuacji co ja, możemy kontynuować „excursion by car”. Odpowiedź nie pozostawiła mi złudzeń, ponieważ pogranicznicy syryjscy czekali na nas z gotowym oskarżeniem o szpiegostwo na rzecz państwa Izrael. Pozostał tylko odwrót. Współpasażerowie ruszyli do Aleppo, a my we dwoje wsiedliśmy w autobus kursowy na trasie Antiochia – Alanya. Siedemset kilometrów jazdy przez czternaście godzin. Trzy kontrole przez policję nadgraniczną, niemożność porozumienia się w drodze powrotnej, bo Turcy jadący z nami znali tylko język turecki (dopiero później poznałem dwóch Gruzinów i jednego Azera pracujących w Alanyi i dzięki temu mogłem w dalszej części trasy nawiązać kontakt słowny z rdzenną ludnością poprzez znających język rosyjski i turecki szczęśliwie dla mnie nowoprzybyłych tłumaczy, ale o tym opowiem przy innej okazji), fotel, wciskający się w pewną część ciała, poznanie prawdziwego orientu na tureckich dworcach autobusowych... Wszystko to nie było jeszcze tak zniechęcające jak powitalne słowa panienczki – zastępcy rezydenta po dojechaniu do Antalya: „to pana wina!” Na takie dictum położyłem się na dworcowym chodniku, oznajmiając, że się stąd nie ruszę, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona i ujawniony faktyczny winny, ponieważ ja kilkakrotnie pytałem jeszcze przed wylotem do Turcji biuro turystyczne, którego przedstawicielem była ta śmieszna pani, czy posiadając pieczętkę w paszporcie z miasta Taba, leżącego na granicy pomiędzy Egiptem i Izraelem, a nie będąc na terytorium państwa żydowskiego, nie będę miał problemów z wjazdem do Syrii.

Szybko doszedłem swoich racji, co poskutkowało zapewnieniem mi hotelu, bezpiecznego powrotu do Polski i satysfakcjonującym zadośćuczynieniem, ale braku widoku na Aleppo i Damaszek nikt i nic nie może mi zastąpić.

Podróże kształcą i uczą o świecie, poszczególnych kontynentach i państwach. Poprzez podróże poznajemy geografie, politykę, struktury społeczne i życie codzienne. Z własnego doświadczenia czerpiemy później wiedzę tak naprawdę dotyczącą wszystkich sfer życia, oczywiście tylko w jakimś fragmencie, na wydzielonym odcinku rzeczywistości. Nie jesteśmy w stanie być wszędzie, a już wykluczone jest przebywać w dwóch miejscach jednocześnie w tym samym czasie. Ale podróż zawsze pozwala nie przebywać w mieście rodzinnym, co ma wpływ na pozostałe filary. Bo filar podróż służy do odpoczynku od pracy, daje dobre warunki do realizacji filaru „sport”, daje styczność z filarem „języki” i sprawdzenie go w praktyce i buduje doświadczenie, a podróżowanie do miejsc kultu religijnego może wzmocnić filar „wiara” poprzez bezpośrednie przebywanie w miejscach świętych dla chrześcijan.

d. Sport

Sport narodził się w Olimpii (starożytna Grecja). Początkowo były to formy współzawodnictwa połączone z ceremoniałem religijnym odbywające się z okazji świąt herosów, bogów opiekuńczych. W „Iliadzie” i „Odysei” Homera można spotkać opis takich igrzysk. Młodzi adepci przygotowywali się do nich w gimnazjonie. U samych początków igrzysk leżało przekonanie o ich pokojowości uswięcone sankcjami religijnymi, święty pokój był nadzieją w dobie nieprzerwanych wojen. Sport wówczas kierował się naczelną zasadą „czystego” współzawodnictwa i gry, honorowej rywalizacji, nieposzlakowanej mentalności

zawodnika i sędziego. Owo święte przymierze spisali niegdyś na spiżowym dysku Ifitos z Elidy, Kleosthenes z Pisy i Likuros ze Sparty. Chroniło ono przybyszów, a kto w tym czasie używał broni, okrywał się hańbą. W 420 roku p.n.e. z igrzysk wykluczono Spartan, ponieważ w tym czasie oblegali miasto Lepreon, a oprócz tej kary była jeszcze nałożona grzywna pieniężna. Do igrzysk miał prawo stanąć każdy Grek, wolno urodzony, nie będący mordercą. Doświadczeni sędziowie zwani „stróżami prawa” byli nieprzekupni. Badali imiona, ród, życie sportowców, posiłkując się przy tym wypytywaniem świadków i w wątpliwych przypadkach sięgali do rozległych korzeni genealogicznych. Grecy brzydzili się oszustwem, a zawodnicy przestrzegali przepisów. Próba korupcji była karana pieniężnie oraz sprawca musiał na własny koszt wnieść na cokole posąg podpisany swoim nazwiskiem wraz z dokładnym opisem wykroczenia. W czasie przeszło tysiąclecia tych posągów wzniesiono tylko trzystaście u stóp jednego ze wzniesień Olimpii.

Cóż przetrwało do naszych czasów z postawy wyidealizowanego sportu? Weźmy piłkę nożną – gdzie dwudziestu dwóch mężczyzn biega z zaangażowaniem, zaś widzowie siedzący na trybunach i przed telewizorami w swoich domach czy zadymionych barach przy kufłu piwa, z których większość bardzo rzadko ma styczność z piłką, popada w emocje – jest sportem narodowym wielu krajów na świecie. Do tego towarzystwa dochodzą dziennikarze sportowi, władze sportowe w osobach „słynnych” działaczy, którzy osobiście nie uprawiają sportu, a dyscypliny sportowe znają w teorii. Przysłowie, że ryba psuje się od głowy, nie ma lepszego odniesienia niż w stosunku do Polskiego Związku Piłki Nożnej. Zbyt długie przebywanie byłego prezesa na tronie PZPN Michała Listkiewicza pogłębiało korupcję w polskiej piłce nożnej. Już w latach osiemdziesiątych film pt. „Piłkarski poker” ujawnił wszystkie mechanizmy korupcyjne działające w ligowych meczach. Zamieszani byli i są kluby i ich prezesi, działacze, sędziowie oraz co najgorsze, sami zawodni-

cy, będący niby zawodowcami. Ujawnione ostatnio afery zataczające gigantyczne kręgi światka piłkarskiego obrazują i potwierdzają nieprzemijającą chorobę polskiego futbolu. Rak dalej będzie trawił tę dyscyplinę sportu w naszym kraju, ponieważ w trakcie ostatnich wyborów na prezesa PZPN Grzegorz Lato „kiwnął” Zbigniewa Bońka i objął urząd tegoż prezesa. Prasa pisała wprost, że Grzegorz Lato to przedstawiciel najtwardszego piłkarskiego betonu i gwarant interesów dotychczasowych układów. Na nic się zdały szumne zapowiedzi, spekulacje, zakulisowe gry i rozbudzone nadzieje na przełom. Było dokładnie tak jak podczas wcześniejszych zjazdów. Delegaci zjechali do Warszawy, kilku pogadało bzdury z mównicy, a później wybrali tego, który zabezpieczy ich zaściankowe interesy, a nie interesy polskiej piłki nożnej. Te kolejne „cyrkowe popisy” spowodują, że dobry polski zespół klubowy w europejskich pucharach będziemy oglądać raz na dziesięć lat, a Anglicy, Hiszpanie, Włosi, pięć swoich klubów w sezonie. Przyczyny tego stanu, oprócz wyżej wymienionych, są powszechnie znane: brak środków na profesjonalną selekcję i wytrenowanie młodzieży, zła organizacja klubów pozbawionych profesjonalnych baz treningowych, a co za tym idzie, nieprzerwany odpływ najlepiej zapowiadających się zawodników do renomowanych bogatych klubów piłkarskich Europy. W ostatnich latach z marazmu podnosi nam się piłkarska drużyna narodowa, która choć nie święci oszałamiających triumfów w wielkich imprezach typu: Mistrzostwa Świata czy Mistrzostwa Europy, to przynajmniej od sześciu lat notuje swoją obecność na tych imprezach. Przy tak przykrych doświadczeniach związanych z polską piłką nożną nadziei nie rokuje nawet „EURO 2012”, które będzie rozgrywane na boiskach Polski i Ukrainy.

Pochodną brudnego, skorumpowanego, zainfekowanego sportu jest leżąca na przeciwstawnym biegunie kultura fizyczna nie będąca samymi ćwiczeniami fizycznymi, sumą sportów, gier ruchowych czy turystyką. Kultura fizyczna to wyraz określonej

postawy wobec własnego ciała, świadoma i aktywna troska o swój rozwój, sprawność i zdrowie, to umiejętność organizowania i spędzania czasu z największym pożytkiem dla zdrowia fizycznego i psychicznego. Bycie nawet wybitnym sportowcem nie oznacza wysokiego poziomu kultury fizycznej. Były gwiazdy olimpijskie po zakończeniu oszałamiającej kariery zaprzestają jakiegokolwiek czynności ruchowej, „bo swoje już wybiegali czy wypływali”. Można także reprezentować wysoki poziom kultury fizycznej, a nie być sportowcem. Jako przykład w tym miejscu – aby lepiej zrozumieć różnicę między sportem a kulturą fizyczną – wyobraźmy sobie dwójkę dzieci będących co dopiero po przebytej chorobie. Jedno z nich daje nauczycielowi na lekcji wychowania fizycznego usprawiedliwienie potwierdzające niemożność uczestniczenia w zajęciach ruchowych i siada na ławeczce, a drugie jest przebrane w strój gimnastyczny, trochę pokasłuje, jest osłabione, pot występuje mu na czoło, ale zawzięcie ćwiczy. To tak naprawdę dziecko siedzące na ławeczce odznacza się wysokim poziomem kultury fizycznej, a to aktywne dziecko wykonujące ruch pomimo przeciwwskazań i szkodliwości aktywności ruchowej cechuje się niskim poziomem kultury fizycznej.

Kryteria kultury fizycznej osobnika to jego tryb życia, ukształtowane nawyki, przekonania, zamiłowania, wreszcie konkretne umiejętności. A zatem nasza praca nad samym sobą polega na formowaniu świadomego stosunku do własnego organizmu i jego potrzeb. Musimy wpoić sobie nawyk systematycznej pracy nad sobą, racjonalnej troski o zdrowie i pielęgnacji własnego ciała. Ważne też, aby te nawyki opierały się na rzetelnej wiedzy.

Nigdy nie byłem zawodnikiem żadnego klubu pływackiego i wyniki, które osiągam w tej dyscyplinie sportu są przeciętne, ale walory pływania jako kultura fizyczna są niezaprzeczalne. Pływanie jest umiejętnością ruchową niezbędną każdemu człowiekowi do pełnego, aktywnego życia. Korzyści zdrowotne,

użyteczne, hedonistyczne wynikające z kontaktu ze środowiskiem wodnym, każą sądzić, iż warto posiadać tę zdolność. Relaks, odprężenie, rozluźnienie mięśni całego organizmu w dzisiejszym sfrustrowanym świecie można osiągnąć przez pływanie. To są właśnie te moje „płuca”, pozwalające dotlenić organizm w wystarczającym stopniu. Gdy na basenie kończę drugą zmianę o godzinie dwudziestej drugiej i jest już ciemno, bo zgasły wszystkie światła, zaczynam swoją kulturę fizyczną. Najczęściej odbywa się to tak, że pierwsze 100 metrów przepływam wszystkimi stylami co w konsekwencji składa się na styl zmienny (100 m stylem zmiennym = 25 m styl motylkowy + 25 m styl grzbietowy + 25 m styl klasyczny + 25 m styl dowolny – z zachowaniem tej kolejności jeżeli nie chodzi o sztafetę 4 x 100 m), a następnie płynę kilometr kraulem tj. czterdzieści długości basenu non stop. Po pokonaniu ostatniego odcinka wykonuję pięć do dziesięciu wydechów do wody, by po chwili znaleźć się w jacuzzi, przebywam tam do piętnastu minut, co pozwala rozluźnić mięśnie oraz uspokoić aktywność myślową.

Pływam niemalże codziennie, co zwiększa wydolność fizyczną typu wytrzymałościowego, poprawia wydolność układu krążenia i oddychania, zwiększa odporność organizmu (nie chorowałem ponad 20 lat!), poprawia wchłanianie tlenu, wpływa na obniżenie poziomu cholesterolu, zapobiega utracie jądrosi ciała, co opóźnia proces starzenia, zwiększa siłę mięśniową i poprawia gibkość, a także redukcję tkanki tłuszczowej (coś w tym jest, bo mój wzrost wynosi 172 cm, a waga 62 kg.).

Dobre dotlenienie mózgu poprzez pływanie zauważyłem podczas... turniejów szachowych. Na początku zawodów najczęściej wyniki mam średnie, ale z biegiem czasu, gdy przychodzi trzecia godzina gry, już niejednokrotnie zauważałem, że pomimo zdecydowanie mniejszych umiejętności i zdolności szachowych od wielu przeciwników, wyniki partii są korzystniejsze dla mnie. Jak to możliwe? Odpowiedź jest bardzo prosta. Oponenci zaczynają popełniać rażące błędy w wyniku zmęczenia i braku

kondycji. W listopadzie 2008 roku w Mistrzostwach Sandomierza grałem partię z Wojciechem Rutkowskim. Stawką był tytuł Mistrza Sandomierza na rok 2008, bo kto wygrał, miał komplet punktów tj. 17 z 17 partii. Zaraz w debiucie podstawiłem figurę, ale postanowiłem kontynuować rozgrywkę ze względu na dość ograniczony czas do namysłu (10 minut na zawodnika na całą rywalizację). Pozycję starałem się komplikować jak umiałem, a nie upraszczać, ale do końcówki przystąpiłem osłabiony materialnie. W tejsze końcówce Wojtek będący na posunięciu, postawił wieżę na ósmej linii tuż obok mojego króla twierdząc, że jest szach i mat, a przy tym wyłączył zegar i w geście triumfu wyciągnął do mnie rękę, dziękując za partię. Błyskawicznie oceniłem pozycję, bo przed tym ruchem nie widziałem, abym mógł przegrać już w jednym ruchu. Znalazłem jedno pole, gdzie mógł odejść mój król. Będąc sędzią szachowym II klasy państwowej, wiedziałem, co to oznacza dla wyniku naszej rywalizacji i również wyciągnąłem rękę do przeciwnika z jednocześnie wyrażonym zdziwieniem: „Wojtku, z figurą więcej ja nigdy bym się tobie nie poddał”. Po chwili lekko zaskoczony oponent także pojął zaistniałą sytuację, bo również spostrzegł, że szacha i mata mi nie dał. Nie protestował i z godnością pogodził się z przegraniem tytułu Szachowego Mistrza Sandomierza na rok 2008. Dlaczego przegrał? No właśnie, w moim odczuciu poprzez brak dostatecznej kultury fizycznej. Gdyby nasze zmagania rozpoczęły się w pierwszej rundzie, mój przeciwnik o 15 lat młodszy ode mnie, bez problemu poradziłby sobie ze „starym”.

Filar „sport”, a raczej kryjąca się pod tym hasłem kultura fizyczna, jest nieodzownym filarem wszystkich filarów poprzez zachowanie trzeźwości umysłu nawet odnośnie wiary, bo pozwala oddzielić fałszywych proroków od Istoty Wszechwiecznej. Gdyby nie kultura fizyczna, zbyt wyężona praca dawno skończyłaby się zawałem serca lub wylewem krwi do mózgu. Filary „podróże” i „języki”, czerpią z kultury fizycznej całymi

garściami, gdyż przelecenie i przejechanie tysięcy kilometrów oraz bezustanne zmaganie się z innymi kulturami i pertraktowanie z nimi w obcych językach, dla nas nie do końca zrozumiałymi, wymaga kondycji fizycznej i psychicznej.

Aby choć trochę zatrzeć dysproporcje pomiędzy sportem, a kulturą fizyczną przedstawię sport, który zachował swą nie-skazitelną czystość do dni obecnych.

Szachy, bo o nich myślę, są sportem umysłowym ze wszystkimi elementami sportowej rywalizacji, rozwijającym pewne właściwości intelektu i charakteru, a szachowa analiza teoretyczna ma wyraźne cechy badań naukowych, opartych na zebranych materiale doświadczalnym. Walory szachów uznawane są powszechnie, choć może nie zawsze poważnie, jak na to zasługują. Z punktu widzenia społecznego – są grą całkowicie demokratyczną. Nie wymagają żadnych cenzusów, lecz tylko pewnych zdolności i zamiłowania. W karierze szachisty nie może być mowy o protekcji czy przywilejach, bo jedynym kryterium wzajemnego stosunku szachistów jest poziom ich umiejętności. Z pedagogicznego punktu widzenia szachy kształcą te cechy charakteru, które są nieodzowne do zwycięstwa we wszystkich zawodach sportowych, a także w tej wielkiej grze, jaką jest życie – przy pełnym zachowaniu zasady „fair play”. Szachy wymagają umiejętności panowania nad sobą, wytrwałości, przeczności – ale i odwagi, poczucia odpowiedzialności za własne decyzje, woli zwycięstwa. Uczą prostej, a rzadko uznawanej prawdy, że nasze własne zdanie, nasza ocena nie zawsze są słuszne i prawdziwe; uczą myśleć obiektywnie i nie lekceważyć żadnego przeciwnika. Studia teoretyczne i ćwiczenia nad szachami wpływają dodatnio na ogólne zwiększenie aktywności umysłu, giętkości pamięci, przyczyniając się do rozwoju inteligencji i rozbudzenia zdolności twórczych.

Dokumentując czystość tego sportu posłużę się znanymi epizodami z życia wielkich mistrzów królewskiej gry zawartymi

w książce Władysława Litmanowicza pt. „Dykteryjki i ciekawostki szachowe”.

W czasie turnieju międzynarodowego w Kopenhadze w 1961 roku zdarzył się dość humorystyczny epizod w partii Barendregt – Geller (ZSRR). W pewnym momencie na szachownicy powstała końcówka, którą wszyscy niemalże uważali za remisową. Niemniej jednak partia ta zakończyła się zwycięstwem arcymistrza radzieckiego. Po partii – jak to zwykle ma miejsce – obaj partnerzy poczęli analizować poszczególne jej stadia. Mistrz holenderski uparcie powtarzał analizę końcówki, twierdząc, iż jest ona remisowa i że partia powinna zakończyć się remisem. Jednakże w analizie Geller kilkakrotnie końcówkę tę wygrał. W końcu Barendregt spytał arcymistrza, dlaczego tak się dzieje, na co Geller odpowiedział: „Widzi pan, ja stoję trochę lepiej”. Wówczas Barendregt pragnąc przekonać się, czy istotnie tak jest, zaproponował Gellerowi analizę tej końcówki przy odwróconych kolorach, tj. Geller miał przejąć pozycję Barendregta i odwrotnie. W ten sposób przeanalizowano wspomnianą pozycję kilkakrotnie, ale – o dziwo! – znów nieustannie wygrywał Geller.

Zdezorientowany zupełnie Barendregt jeszcze raz zadał arcymistrzowi pytanie, dlaczego tak się dzieje, na co Geller udzielił mu tej samej odpowiedzi: „Widzi pan, ja stoję trochę lepiej...”.

Barendregtowi nie przyszło do głowy, że po prostu jego przeciwnik... gra lepiej. A tego właśnie Geller nie chciał mu powiedzieć.

Drugi przykład jest rozbijająco humorystyczny. Jacques Mieses był czynnym szachistą niemalże do samej śmierci (zmarł w wieku 89 lat).

W czasie turnieju old boyów zorganizowanym w Londynie w 1948 roku. (Mieses liczył wówczas 83 lata!) jednym z przeciwników Miesesa był 84-letni staruszek. Gdy partia zakończyła

się wygraną Miesesa, dowcipny arcymistrz krzyknął triumfującym głosem: „I znów zwyciężyła młodość!”.

Dla wszystkich niedowiarków i lekceważących szachy jako sport przedstawiam przykład kilkudniowej walki i determinacji oraz problemy, przed jakimi wielokrotnie staje szachista na wszystkich szczeblach drabiny szachowej.

W czasie międzynarodowego turnieju w Leningradzie w 1960 roku przydarzyła się naszemu mistrzowi Zbigniewowi Dodzie przygoda szachowa, która uniemożliwiła mu osiągnięcie lepszego wyniku, a kto wie, może i poważnego sukcesu.

W jednej z pierwszych rund turnieju Doda grał ze znanym mistrzem i wybitnym teoretykiem radzieckim Borisenko. Nasz reprezentant rozegrał partię wyśmienicie, uzyskał przewagę i przeszedł do końcówki ze znacznie lepszymi szansami. Nic też dziwnego, że na remisową propozycję przeciwnika odpowiedział odmownie. Partia została odłożona i zgodnie z regulaminem turniejowym była dogrywana następnego dnia przed południem.

Ponieważ nie było specjalnych dni na dogrywki, przeto przedpołudniowe dogrywki obejmowały tylko 16 posunięć i trwały dwie godziny. Pierwsza dogrywka nie dała rezultatu i partia została po raz drugi przerwana – i tym razem z większymi szansami Dody. Jak zwykle – po południu rozgrywana była następna runda.

Trzeciego dnia z rana od godziny 9 do 11 Doda po raz trzeci kontynuował grę z Borisenko. Również i tego dnia jak i poprzednio Borisenko proponował Polakowi remis, ale Doda uparcie propozycję tę odrzucał. Nie było to najszcześniejsze „posunięcie”.

W pewnym momencie Doda popełnił błąd i już nie on, lecz Borisenko znalazł się w nieco lepszej sytuacji, aczkolwiek i nadal nie widać było wygrywającej kontynuacji – tym razem dla Borisenki. Na remisową propozycję Dody Borisenko, rzecz jasna, odpowiedział odmownie. Zaczęto o partii szeroko pisać w

prasie leningradzkiej, nazywając ją „dyżurną partią”. Każde sprawozdanie z kolejnej rundy zaczynało się od stereotypowego zdania: „Dyżurna partia Doda – Borisenko została ponownie odłożona”. Była odkładana sześciokrotnie, pozbawiając naszego szachisty snu i apetytu.

Wreszcie, gdy szósta z kolei dogrywka nie dała wyniku, Doda powziął rozpaczliwą decyzję: poddał partię, która miała 175 posunięć i trwała ponad 19 godzin!

I już następnego dnia Doda wyspany i wypoczęty w wyśmienitym stylu wygrał partię z Kondratiewem. Po partii pierwsze gratulacje złożył Dodzie... Borisenko.

e. Języki

Język jest systemem służącym do przenoszenia informacji w społeczeństwie ludzkim i przed wiekami mieszkańcy całej ziemi mieli jedną mowę. W kraju Szinear wytworzyli cegłę i smołę, zaczęli budować miasto i wieżę, której wierzchołek miał sięgać nieba, i w ten sposób mieli zdobyć sobie imię, co spowodowałoby nierozproszenie ich po całej ziemi.

A Pan zstąpił z nieba, by zobaczyć to miasto i wieżę, które budowali ludzie, i rzekł: „Są oni jednym ludem i wszyscy mają jedną mowę, i to jest przyczyną, że zaczęli budować. A zatem w przyszłości nic nie będzie dla nich niemożliwe, cokolwiek zamierzą uczynić. Zejdźmy więc i pomieszajmy tam ich język, aby jeden nie rozumiał drugiego”.

W ten sposób Pan rozproszył ich stamtąd po całej powierzchni ziemi i tak nie dokończyli budowy tego miasta i wieży. Dlatego to nazwano je Babel, tam bowiem Pan pomieształ mowę mieszkańców całej ziemi (etymologia ludowa: Babel – balal [pomieształ]).

Większość narodów i grup etnicznych zamieszkujących obecnie Europę, a także część Azji mówiła niegdyś wspólnym językiem zwanym praindoeuropejskim. Na przełomie III i II tysiąclecia p.n.e. nastąpił rozpad wspólnoty praindoeuropejskiej. Wyłoniły się z niej duże grupy: romańska, germańska, słowiańska, a następnie ukształtowały się poszczególne języki narodowe. Był to długotrwały proces. Języki europejskie wywodzące się z pnia praindoeuropejskiego tworzą trzy wielkie rodziny:

- romańską (łacina, włoski, francuski, hiszpański, portugalski, rumuński, sardyński, prowansalski, kataloński)
- germańską (niemiecki, angielski, holenderski, duński, szwedzki, norweski, islandzki, flamandzki, fryzyjski)
- słowiańską (polski, czeski, słowacki, górnołużycki, dolnołużycki, bułgarski, serbski, chorwacki, macedoński, rosyjski, białoruski, ukraiński).

Język praindoeuropejski odznaczał się obfitością i nieregularnością form gramatycznych. Rzeczowniki i przymiotniki odmieniały się przez 8 przypadków: *nominativus* – mianownik, *genetivus* – dopełniacz, *dativus* – celownik, *accusativus* – biernik, *vocativus* – wołacz, *instrumentalis* – narzędnik, *locativus* – miejscownik, *separativus* – oddzielnik, który nie ma odpowiednika w języku polskim.

W ramach rozwoju języków dążono do ich uproszczenia. W grece istniało 5 pierwszych przypadków dzięki pojawieniu się rodzajników, które ułatwiły deklinację oraz rozpoznanie gramatycznego rodzaju. W łacinie było 6 przypadków, ponieważ narzędnik, miejscownik, oddzielnik utworzyły *alltivus*. W językach słowiańskich istnieje także 6 lub 7 przypadków w zależności czy zachował się wołacz. W najstarszych tekstach germańskich z IV wieku naszej ery występują 4 przypadki (współcześnie 4 przypadki ma język islandzki i niemiecki). W języku niemieckim odmienia się prawie wyłącznie rodzajnik. Pozostałe języki germańskie posiadają tylko 2 przypadki (*nominativus* – mianownik i *genetivus* – dopełniacz. *Genetivus* zanika

w języku angielskim i niderlandzkim. Dzięki takiej odmianie rzeczownika języki germańskie zbliżyły się do języków romańskich, powstałych z łaciny. Było to możliwe przez zastąpienie przypadków konstrukcjami z użyciem przyimków.

Czasowniki w języku praindoeuropejskim rozróżniały 6 czasów gramatycznych: teraźniejszy – praesens, teraźniejszy dokonany – praesens perfectum, przeszły niedokonany – imperfectum, przeszły nieokreślony – aoristum, zaprzeszyły – plusquamperfectum i przyszyły – futurum. Tyleż samo czasów było w łacinie. Nie występował czas teraźniejszy dokonany, jego funkcję przejął czas przeszły dokonany zwany perfectum.

Taki podział czasów przejęły z języka łacińskiego języki romańskie i język angielski.

Do XV wieku języki germańskie rozróżniały 2 czasy: teraźniejszy i przeszły prosty. Podobnie jak w grece bardziej archaiczne czasowniki germańskie odmieniają się „mocno” lub „słabo”. Czasownik „mocny” tworzy się poprzez wymianę (alternację) samogłoski rdzennej co powoduje, że czasy wydają się odrębnymi leksemami. Czasowniki „słabe” tworzą czas przeszły za pomocą spółgłoski „t”. Od kilku wieków czasowniki „mocne” nie powstają, a te które istnieją, zmieniają się na słabe. W związku z tą sytuacją w językach romańskich i germańskich zanikają końcówki koniugacyjne, a ich funkcję przejęły zaimki osobowe. Taki system wystąpił w języku rosyjskim należącym do grupy języków słowiańskich.

W XVI wieku w niemieckim pojawił się nowy czas – czas przeszły złożony. Zbudowany był ze słowa posiłkowego „mieć” lub „być” i imiesłowu biernego. Tego czasu zaczęto używać w językach romańskich. W językach germańskich czas przeszły prosty i złożony nie rozróżnia formy dokonanej i niedokonanej czasownika. Czas przeszły złożony powstał w Niemczech południowych. Używa się go w mowie potocznej, gdyż wystarczy odmienić tylko słowo posiłkowe, a czasownik podstawowy pozostaje bez zmian. Długość jego formy jest kłopotliwa w piśmie.

Czas zaprzeszyły i czas przyszły tworzone są jak czas przeszły złożony za pomocą słów posiłkowych.

W języku niemieckim stroną bierną czasownika tworzy się dodając do czasownika podstawowego słowo posiłkowe „stawać się” („werden”), gdy w innych językach wyraz „być”. Kolejną cechą wyróżniającą języki słowiańskie od niemieckiego jest podział czasowników na dokonane i niedokonane. Istnieje on tylko w czasownikach słowiańskich.

Interesująco przedstawia się podział języków ze względu na nazwy liczb 100 i 10. Według tej klasyfikacji języki indoeuropejskie dzieli się na dwie grupy:

1. kentum i dekem (pierwotne nazwy łacińskie)
2. satem i dasat (nazwy indoirañskie).

Grupa pierwsza obejmowała Celtów, Germanów, Greków, Hetytów, Illirów, Itaków.

Grupa druga – Albańczyków, Bałtów, Hindusów, Irańczyków, Ormian, Słowian i Traków.

Istotna różnica w poszczególnych grupach językowych dotyczy składni zdania.

Zanik końcówek w języku angielskim i francuskim zmusił te języki do przybrania charakteru pozycyjnego. Podmiot w zdaniu twierdzącym musi stać przed czasownikiem, a rzeczownik w funkcji dopełnienia po czasowniku.

W grece, łacinie i językach słowiańskich szyk jest dowolny. W języku niemieckim czasownik bądź słowo posiłkowe stawia się na miejscu drugim w zdaniu głównym, a na końcu zdania podrzędnego. Jeśli w wypowiedzi pojawia się czas przeszły złożony, zaprzeszyły lub przyszły, to w zdaniu głównym pojawia się na drugim miejscu tylko słowo posiłkowe, a czasownik podstawowy na końcu zdania.

Wiele wspólnego mają języki germańskie i słowiańskie w dziedzinie słownictwa. W ciągu wieków Słowianie licznie zapożyczali wyrazy z niemieckiego, Germanie odwrotnie.

Obecnie mało kto pamięta o tym, że istniał język indoeuropejski a dominacja języka angielskiego, hiszpańskiego, francuskiego czy rosyjskiego jest niezaprzeczalna, choć język chiński i indyjski ze swoimi dialektami i narzeczami zyskuje na znaczeniu ze względu na liczbę ludności w Chinach i Indiach oraz hiper rozwój gospodarczy złączony z taną siłą roboczą i otwarciem na współczesny świat, pomijając oczywiście skrajności panujące w tych dwóch krajach Azji. Dla mnie osobiście dany język, podobnie jak figura szachowa, ma taką wartość w danym momencie, jaką można wykorzystać w konkretnie powstałej sytuacji.

Przebywając w Niemczech czytałem na spółkę gazety niemieckie z mamą mojego kolegi – Wowki, u którego mieszkałem trzy miesiące. Dlaczego na spółkę? Otóż mama Wowki wychowywała się w Kirgizji, a następnie mieszkała w Saratowie i ukończyła radzieckie szkoły powszechne, więc mówiła, czytała i pisała tylko po rosyjsku, a języka niemieckiego mówionego nauczyła się od swojej mamy – przesiedlonej Niemki – gdyż takim posługiwali się w domu rodzinnym. Ja natomiast mało co rozumiem z języka niemieckiego poza kilkoma odmianami, rzeczownikami i czasownikami, ale znam dość dobrze zasady poprawnego czytania. Kiedy dostarczano przedpołudniową gazetę do mieszkania, gdzie we dwoje przebywaliśmy, zaczynałem na głos czytać tekst niemiecki prawie nic nie rozumiejąc. Natomiast mama Wowki nie była w stanie przeczytać, natomiast słysząc, co ja czytam na głos rozumiała wszystko. Dopelnieniem tej „spółki” pozostawało tylko przetłumaczenie mi tekstu z języka niemieckiego na rosyjski.

Pewnego dnia wcześniej niż zwykle miał w zwyczaju, wrócił z pracy ojciec Wowki i zabrał mnie do komisju samochodowego, jakich tam było setki. Gdy oglądał „Audi” czy „Mercedesa”, podszedł do nas właściciel tegoż komisju i tak staliśmy we trzech. W jakim języku potoczyła się rozmowa? Kiedy ja mogłem porozumiewać się w języku rosyjskim i an-

gielskim, ojciec Wowki w niemieckim i rosyjskim, a właściciel komisju w angielskim i niemieckim. To była śmieszna konwersacja, bo staliśmy w trójkę, ale dialogi mogły się odbywać tylko we dwójkę. Ja z ojcem Wowki: po rosyjsku, ojciec Wowki z właścicielem komisju: po niemiecku, właściciel komisju ze mną: po angielsku.

Dobra znajomość języka rosyjskiego po przekroczeniu granicy na rzece Bug daje przestrzeń życiową nie ograniczoną barierą językową do granicy z Chinami czy Japonią, a walory tego języka doceniałem na każdym kroku jadąc do Uzbekistanu i z powrotem.

Będąc w Estonii podczas Świąt Wielkanocnych unikałem sklepów, gdzie obsługa była estońska, ponieważ te sklepy oznaczały dla mnie brak możliwości dogłębnego podyskutowania na temat jakości towaru, a gdy wstępowałem do „magazynów”, gdzie ekspedientka była narodowości rosyjskiej, od razu następowało rozluźnienie i ocieplenie klimatu, mimo tego, iż był marzec i metrowa pokrywa śnieżna zalegała na ulicach Tallina. Na msze chodziłem do cerkwi prawosławnej, a nie do kościoła luteńskiego, ponieważ tam byłbym obcy.

Wracając z Tallina zatrzymałem się kilka dni w Rydze, stolicy Łotwy. Przed każdą restauracją stał na stojaku jadłospis w języku... łotewskim w myśl ustawy państwowej o języku narodowym; uniemożliwiało mi to zorientowanie się, co mogę zjeść. Mój problem rozwiązało bezpośrednie pytanie zadane już wewnątrz restauracji dość sympatycznej kelnerce. Pytanie było oczywiście w języku rosyjskim, co wywołało szeroki uśmiech na jej ustach i objaśnienie mi walorów wszelkich poszczególnych potraw, których zapachy wydobywały się z kuchni.

W Egipcie i Tunezji ważne jest, skąd pochodzisz. Arabowie błyskawicznie wnioskujeją, jaką mową się posługujesz. Nie jest to bez znaczenia w krajach arabskich podczas robienia interesów i zakupów. Rzadko kiedy w tych krajach można spotkać stoiska z wystawionymi cenami, a jak już, to są to ceny bardzo

zawyżone. Nabycie towaru wiąże się nierozzerwalnie z targowaniem się o cenę podaży i popytu. Jeżeli Arabowie usłyszą, że ktoś posługuje się językiem angielskim, niemieckim, ewentualnie francuskim, cena jest kilkakrotnie wyższa niż gdybyśmy posługiwali się językiem rosyjskim. Dlatego wchodząc na arabski *suk* nie często zdradzam minimalną znajomość dwóch języków zachodnich, a dyżurnym jest język wschodni.

Oczywiście są odstępstwa od tej reguły, bo czasami po prostu nie mam wyjścia. W dniu odlotu, wypoczywając w Sharm El Sheikh postanowiłem kupić rodzinie i znajomym upominki. Po krótkim zastanowieniu, mój wybór padł na bardzo ładne wizualnie egipskie banknoty jednofuntowe przedstawiające na awersie faraonów, a na rewersie posągi z Abu Simbel, które uratował przed zatopieniem polski naukowiec profesor Michałowski. Do Araba przy kasie zwróciłem się z uprzejmą prośbą: „Możecie mnie pamiętać adnowo dolara na pięć funtów, tołka szto by diengi były nowyje i czyste?” Sprzedawca nie zrozumiał pytania, choć najczęściej używany język obcy w Egipcie, to język rosyjski ze względu na Rosjanki i Ukrainki o kolorze włosów ufarbowanych na blond, przybywające do tego kraju na wakacje, a raczej na „sex wakacje”. Powtarzałem mu moją prośbę raz-drugi, następnie prowadziliśmy konwersację po rosyjsku na inne tematy, ponawiałem pytanie, objaśniałem, o co mi chodzi z tymi pieniędzmi, znajdowałem słowa, których już dawno nie używałem i... nic, tego zwrotu mój rozmówca nie mógł pojąć, nie to, że nie chciał, widziałem, że nie był w stanie.

Zmieniłem taktykę i jeszcze raz zapytałem:

- „Do you speak English?”
- „Yes, of course”
- „Can you exchange my money? Dollars for pounds. I would like to get clean and new notes.

Ekspedient otworzył boczną szufladę i wyciągnął pięć funtów egipskich, wyglądających jak dopiero co pobranych z banku.

Relaksując się w słońcu Hiszpanii w mieście Canet de Mar znajdującym się trzydzieści kilometrów od Barcelony, zgłosiłem do rezydenta chęć pojechania na wycieczkę fakultatywną do Andory, co spotkało się z odmową tegoż pana, argumentującego swoją dezaprobatę zlikwidowaniem z programu tejże podróży przez polskie biura. Ja jednak uparłem się przy swoim, oświadczając, że gdy wyjeżdżałem z Polski, wyjazd do Andory był umieszczony w katalogu turystycznym. Po dwóch dniach spotkaliśmy się ponownie. Mój opiekun oświadczył, że jest wycieczka fakultatywna, o którą zabiegam, lecz językiem obowiązującym na niej jest język angielski, a oprócz tego muszę wstać o godzinie 5⁰⁰ rano i kupić sobie bilet na stacji kolejowej, posługując się językiem hiszpańskim, przejechać trzy przystanki, wysiąść z pociągu i dopiero po przebyciu odcinka pięćdziesięciu metrów będzie na mnie czekał podstawiony autobus. Moja znajomość języka hiszpańskiego, pomimo zdania egzaminu na wyższej uczelni jako drugiego języka zachodniego, jest kiepska, ale nic i nikt nie mógł mnie powstrzymać od z góry powziętego planu. Nadszedł dzień eskapady w Pireneje. Wstałem o 5⁰⁰ i na piechotę udałem się na dworzec kolejowy, kupując bilet do Pineda de Mar i powrotny. Musiało się chyba spodobać miejscowemu kasjerowi, że posługuję się hiszpańskim, a nie np. angielskim, bo gdy wszedłem na niewłaściwy peron, zamknął kasę i wyszedł na świeże powietrze, wskazując mi ruchem ręki z przyjaznym uśmiechem właściwe miejsce oczekiwania. Po przebyciu trzech przystanków koleją, udałem się do podstawionego autobusu z angielsko-języcznym przewodnikiem, który całą drogę opowiadał o zaletach Katalonii. Po przekroczeniu granicy hiszpańsko-andorskiej obserwowałem sklepy z napisami „mas barato” – „bardzo tanio” i gdy tylko zwiedziłem ten ciekawy zakątek świata, udałem się do jednego z tych sklepów zakupując dwie pary dresów firmy „NIKE” po 25 euro za sztukę.

Po powrocie do Canet de Mar jak zwykle wieczorem siedłem w hotelowym pokoju do stołu z moimi dopiero co poznanymi znajomymi z Torunia. W pewnym momencie zniesmaczony Waldek zwrócił się do mnie: „Jacek, zobacz z tą puszką piwa, coś jest nie tak”. Wziąłem puszkę do ręki i zacząłem czytać napisy zawarte na niej, natrafiając na informację: „sin alcohol” – „bez alkoholu”.

Cudze chwalicie, swego nie znacie. Ten zwrot często powtarzam wszelkiego rodzaju niedowiarkom i sceptykom. Rzecz się miała podczas mojego pobytu na Malcie w mieście Bugiba. W recepcji hotelu, w którym mieszkałem, pracowała bardzo ładna, młoda dziewczyna, o oczach i długich czarnych włosach jak heban. Przy oddawaniu klucza od mojego pokoju hotelowego spytałem po angielsku czy pójdziemy na kawę. Otrzymałem odmowną odpowiedź również w tym języku – że jest w pracy i już przyciszonym głosem, że ma chłopaka Maltańczyka, a jej współpracownicy kręcący się tuż obok nas w recepcji dobrze rozumieją, o czym rozmawiamy. „Odpuściłem temat” nie chcąc robić jej niepotrzebnych przykrości do momentu, gdy przypadkowo w stołówce jakaś Słowenka zagadnęła mnie o możliwość zajęcia miejsca przy moim stole z powodu braku wolnych miejsc, na co wyraziłem zgodę. Słowenka mówiła w swoim ojczystym języku, a ja w swoim, co nie przeszkadzało nam w dobrym rozumieniu się wzajemnie. Konwersacja nie wiadomo czemu zeszała na recepcjonistkę i dowiedziałem się, że ta ciemna dziewczyna jest narodowości... słowackiej. Dzięki temu przez kolejne dni mogłem wielokrotnie rozmawiać bez przeszkód i swobodnie z moją koleżanką ze Słowacji nie narażając jej na wścibskie podsłuchiwanie szpiegów. Ona posługiwała się językiem słowackim, a ja swoim językiem narodowym.

Gdy wracałem z Hurghady, samolot którym przyleciałem do Polski był opóźniony o ponad cztery godziny, więc zamiast wylądować o 18⁰⁰ wylądował po 22⁰⁰ na warszawskim Okęciu. Autobusy o tej porze nocy już nie kursowały do Sandomierza.

Postanowiłem noc spędzić na lotnisku, a dopiero wczesnym rankiem przejechać na autobusowy Dworzec Zachodni. Czeka-
jąc na bagaż po odprawie celnej, dostrzegłem, że na swój bagaż
po przylocie z Londynu oczekuje człowiek, którego na pewno
widziałem na pływalni krytej w Sandomierzu. Pamięć do twarzy
mam bardzo dobrą. Wystarczy, że gdy raz kogoś zobaczę w ży-
ciu, to po kilku latach widząc go ponownie, wiem, że już tego
człowieka gdzieś widziałem. Tak było na rejsie żaglówką po
Mazurach z moim bratem i obecną bratową. W okolicach Miko-
łajek brakło nam chleba. Zboczyliśmy ze szlaku żeglugowego
i przybiliśmy do przystani cumując u kei naszego „Oriona”.
Kupiliśmy potrzebne artykuły spożywcze i stanęliśmy w kilku-
dziesięcioosobowej kolejce, oczekując na smażoną rybę. Nagle
powstało zamieszanie, bo „ktoś” chciał bić Franka z Wrocławia.
Frank z Wrocławia był to mężczyzna około „pięćdziesiątki”,
metr sześćdziesiąt w kapeluszu, z czarnymi wąsiskami, po spo-
życiu już chyba znacznej ilości piwka. Po kilku minutach sytu-
acja została opanowana i nastął pożądany spokój. Kilka lat póź-
niej w letnie popołudnie przechadzałem się po Sandomierzu. Na
przystanku komunikacji miejskiej siedział chłopak z długimi
włosami tzw. „metalowiec”. Podeszedłem do niego zwracając się
tymi słowami: „byłeś kilka lat temu w Mikołajkach w kolejce po
smażoną rybę i chciałeś bić Franka z Wrocławia?” To pytanie
wywołało u niego niesamowite zdziwienie, ale wybąkał: „byłem
ale skąd ty to wiesz????”. Odpowiedziałem: „wiem, ponieważ
stałem na końcu tej kolejki”. Kontynuując wydarzenia na lotni-
sku: podeszedłem do tego jegomościa, którego kojarzyłem z san-
domierskiego basenu. Okazał się rodowitym sandomierzaninem
i razem wróciliśmy jego samochodem do domu. Tak jak wte-
dy „dogadałem się” z Robertem Mazurem w języku polskim,
potrafi tylko Polak z Polakiem. Okazał się cudownym, bezinte-
resownym człowiekiem, a jego nieoceniona pomoc w wielu
sprawach jest dla mnie solidną podporą. Ta owocna rozmowa
trwa do dzisiaj.

Ciągle mi dokuczają brak dobrej znajomości języka angielskiego i hiszpańskiego (tak naprawdę języka hiszpańskiego nie ma, tylko pod tym pojęciem kryje się język kastylijski), ponieważ zdaję sobie sprawę i jestem tego w pełni świadomy, że bez opanowania w stopniu zaawansowanym dwóch języków zachodnich i jednego wschodniego można zapomnieć o piątym filarze solidnej podstawy fundamentu pozytywnego wojownika.

f. Doświadczenie

Osiem lat temu gdy mieszkałem w Warszawie przeczytałem na jednym z plakatów informację o możliwości wzięcia udziału w castingu kwalifikującym najlepszych do programu „trafiony zatopiony”, organizowanym przez telewizję TVN. Zgłosiłem się i pomyślnie przeszedłem eliminacje. Program był nagrywany w Krakowie. Na początku programu na środek sceny wyszedł Andrzej Supron i rozpoczął program od słów: „dziesięciu przystojniaków czeka, by wykąpać się w naszym basenie. Tylko jeden wyjedzie suchy naszym motorem”. W studio był basen pilnowany przez ratowniczkę Kasię „niezwykle aktywną”. Nie wiem co miała na myśli była zapaśnik mówiąc: „niezwykle aktywna” – mogłem się tylko domyślać. Kibicowało nam ponad sto dziewczyn z Krakowa i od ich głosów zależało, kto zostanie zwycięzcą. Do walki o ten motocykl ruszyło dziesięciu śmiazków wierząc, że piedestał jest w zasięgu ich ręki. Przyjechali z wielu zakątków Polski: Łukasz z Wrocławia, Darek z Gdańska, ja z Sandomierza, Mariusz z Koluszek, Robert z Bielska-Białej, Mirek z Opola, Bartek z Krakowa, Paweł z Wrocławia, Bartek z Mielca i Waldek z Opola. Nastąpiła krótka prezentacja uczestników i demonstracja zdjęć z ich lat dziecińczych. Popisy taneczne i odpadło trzech. Badanie intuicji i kolejnych dwóch pożegnało się z zabawą. Nastąpiła chwila

przerwy i czas na reklamę telewizyjną. Pozostało pięciu chłopaków przed następną konkurencją, a należało w niej zaśpiewać piosenkę, którą się wcześniej przygotowało. Mój wybór padł na utwór zespołu „Dżem” pt. „Mała aleja róż”. Nie mam zdolności wokalnych, ale zmieniłem oryginalne słowa i zaintonowałem: „...i wrócę tam do Sandomierza na aleję pełną róż”. Na podsumowanie tej rundy do akcji wkroczyła Joanna Brodzik. Porozmawiała z Andrzejem Supronem. Włączono podkład muzyczny, a Joanna Brodzik przeszła wzdłuż naszej piątki ustawionej na krawędzi basenu i wróciła się do mnie. Delikatnie mnie popchnęła, a ja wykonałem skok wpadając plecami do wody. Wygrał Bartek z Krakowa. Jakie doświadczenie wyniosłem z tego epizodycznego wystąpienia w telewizji? Wniosek nasuwał się jeden, że wygrał ten, który miał wygrać. Pochodził z Krakowa, a tuż obok studia nagrań miał restaurację, gdzie wiele dziewcząt głoszących w programie na poszczególnych kandydatów znało go osobiście, bo przebywało w jego „biznesie”. To nabyte doświadczenie nauczyło mnie, aby nie pchać się w te strefy, gdzie sędziowie mogą okazać się nie do końca obiektywnymi arbitrami. „Trafiony zatopiony” jest lustrzanym odbiciem spotkania rolników w Wojewódzkim Związku Gminnych Spółdzielni w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, o czym opowiadał mi pewien członek mojej rodziny. Do Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni zostali zaproszeni na spotkanie „zwykli” rolnicy należący do tej kooperacji. Do wygrania drogą szczęśliwego losu były dwa nowiutkie traktory. Każdy rolnik losował, wyciągając zwiniętą kartkę papieru, a „niezależna” komisja „pilnowała uczciwości” przebiegu tegoż „losowania”. Jeden traktor „szczęśliwym trafem” wygrał... prezes WZGS a drugi pojazd mechaniczny znalazł nabywcę, którym okazał się niespodziewanie... Główny Księgowy WZGS.

W szachach „siedzę” od trzydziestu lat. Gdy miałem cztery lata nie tylko sięgałem głową ponad stół, ale także dostawiałem szacha i mata od taty po trwającej dwa ruchy partii szacho-

wej. W Szkole Podstawowej nr 1 w Sandomierzu pani Rudzka organizowała w świetlicy szkolnej turnieje szachowe o tytuł Szachowego Króla Szkoły Podstawowej nr 1, gdzie zwyciężałem. Nauczyciele wychowania fizycznego wiedzieli o tym fakcie i zgłaszali mnie do rozgrywek międzyszkolnych, czego efektem był Tytuł Mistrza Województwa Tarnobrzeskiego i udział w pięciu półfinałach Mistrzostw Polski juniorów. Potem miałem przygody z klubem „Hutnik” Sandomierz, „Siarka” Tarnobrzeg oraz „Zelmer” Rzeszów. Grałem na kilku turniejach szachowych o randze ogólnopolskiej i międzynarodowej. Pięć lat temu wywalczyłem wraz z kolegami z Sandomierza awans do II ligi. Skończyłem dwa kursy sędziowskie, których owocem jest posiadanie tytułu: sędzia szachowy II klasy państwowej. Mam pewną satysfakcję z tej podróży po krainie szachów, ale byłaby ona niepełna, gdybym doświadczenia trzydziestu lat nie spożytkował na utworzenie Uczniowskiego Klubu Szachowego „Czwórka” Sandomierz. Ten багаż doświadczeń pozwolił mi w dniu 01.09.2008 roku rozpocząć działalność wyżej wymienionego klubu, mającego swoją siedzibę przy Szkole Podstawowej nr 4 w Sandomierzu – przy wydatnej pomocy dyrektora tejże szkoły pani Ewy Gracz, która udostępniła salę do gry i sponsoringu Roberta Mazura, który wyłożył prywatne środki finansowe na zakup kompletów szachowych i potrzebnej literatury metodycznej. Zajęcie trzech pierwszych miejsc w kategorii junior przez moich podopiecznych jak i moje pierwsze miejsce w kategorii senior na Mistrzostwach Sandomierza za rok 2008 jest wynikiem doświadczenia. W dniu 15.12.2008 roku zorganizowałem: Pierwszy Mikołajkowy Turniej Szachowy o Tytuł Szachowego Króla Szkoły Podstawowej nr 4 w Sandomierzu w Kategorii Klas I-III i IV-VI gdzie pełniłem funkcję sędziego. Ten szkolny turniej szachowy też był wynikiem... doświadczenia.

Tak jak Bóg z Boga, światło ze światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego, tak doświadczenie z czynów, a czyny z doświadczenia. Doświadczenie wiary wpływa na wiarę, do-

świadczenie pracy na pracę, doświadczenie wynikające z podróży – na kolejne podróże, doświadczenie sportowe na sport i kulturę fizyczną i doświadczenie w danym języku na ten język. Doświadczenie jest uniwersalne, bo też może przenikać różne strefy działań i zdobycie doświadczenia w jednym filarze często wpływa na inny filar, pozornie nie związany z nim. Doświadczenie jest niewidoczne, kryje się w naszej głębi, jest w nas samych i nie wiadomo w jakim momencie się uaktywni, ale przez swoją niewymierność i niepoliczalność jest solidnym filarem, gdyż możemy być niekonwencjonalni, mając możliwość działania poprzez pełne zaskoczenie.

g. Alkoholizm

Zastanawiając się nad problemem alkoholizmu w naszym mieście, i nie tylko, natrafiłem na książkę Jerzego Mellibrudy pt.: „Tajemnice ETOH”, dzięki mojej koleżance z grona pedagogicznego, będącej pedagogiem szkolnym w szkole, w której kształcimy, wychowujemy i sprawujemy opiekę nad dziećmi, czyli przyszłą solą tej ziemi.

Napoje alkoholowe są tak stare jak nasza cywilizacja. Będąc studentem Wyższej Szkoły Humanistyczno-Przyrodniczej w Sandomierzu pisałem pracę semestralną na temat życia codziennego w starożytnej Mezopotamii, znajdując informacje w pracach naukowych o warzeniu i picu piwa w tym regionie w ówczesnym czasie.

Wolna szlachta I Rzeczypospolitej posiadając niezbywalne prawo wolności i polityczne przywileje zawsze była skora do: „bitki i wypitki”.

Substancja chemiczna zwana alkoholem etylowym, w skrócie ETOH o symbolu C_2H_5OH posiada wyjątkową moc – w bardzo krótkim czasie po zażyciu może zmienić stan psy-

chiczny człowieka. Cząsteczki ETOH zawarte w wódce i nie tylko są bardzo małe i zostają w bezpośredni sposób wchłonięte przez organizm. Za pośrednictwem krwioobiegu trafiają szybko do mózgu, a tam dzięki specyficznym właściwościom chemicznym wywołują odpowiednie efekty psychologiczne – wzbudzają różne reakcje uczuciowe. ETOH jest usypiaczem i znieczulaczem, działającym na mózg tak, jak środek usypiający, jak np.: eter czy chloroform. Jednak usypianie mózgu jest stopniowe i zaczyna się od ośrodków sprawujących kontrolę nad różnymi czynnościami. Osłabienie tej kontroli powoduje chwilowe wyzwolenie niektórych zahamowań i dlatego wypicie pierwszych kieliszków przeżywane jest jako stan ożywienia, pobudzenia i ekscytacji. Dopiero trochę później ujawnia się prawdziwa natura ETOH prowadząca do uśpienia i zatrzymania kolejnych czynności mózgu, aż do stanu utraty równowagi i koordynacji, śpiączki, a w końcu do zatrzymania procesów niezbędnych do życia.

Są dwa podstawowe powody, dla których napoje alkoholowe stały się tak bardzo popularne. Pierwszy, to wpływ obyczajów – wspólne picie stanowi bardzo popularny sposób nawiązywania i umacniania kontaktów między ludźmi. Od wczesnych lat uczymy się, patrząc na dorosłych (w moim domu rodzinnym od lat dziecięcych nie było problemu alkoholu, jak żyję 35 lat, tak nigdy nie widziałem mojego taty czy mamy, aby byli „pod wpływem”, „na gazie”), oglądając filmy, że wspólna konsumpcja napojów alkoholowych jest czymś atrakcyjnym. Następnie uczestnicząc w życiu towarzyskim sami odkrywamy uroki towarzyskiego picia, które dla wielu staje się źródłem radości, ułatwia zbliżanie się ludzi do siebie, tworzy okazję do spotkań, ułatwia zabawę i załatwianie interesów. Drugi powód, to pragnienie szybkiego poprawienia sobie nastroju.

Jest oczywiste, że intensywne poszukiwanie przyjemności, ulgi i bliskości przy pomocy ETOH uszkadza organizm a mianowicie: mózg, serce, wątrobę, przewód pokarmowy i inne sys-

temy biologiczne. Uzależnienie od alkoholu, czyli alkoholizm, jest chorobą, która zaczyna się i rozwija podstępnie, bez świadomości zainteresowanej osoby. Polega na niekontrolowanym picciu napojów alkoholowych i może doprowadzić do przedwczesnej śmierci. Objawy tej choroby to przede wszystkim takie zjawiska jak: podwyższenie lub obniżenie tolerancji na alkohol, gdy człowiek przerywa dłuższe picie lub zmniejsza ilość wypijanego alkoholu, pojawiają się bardzo przykre objawy – niepokój i drażliwość, dreszcze i drżenie kończyn, skurcze mięśniowe, poty, nudności, w miarę upływu czasu bez alkoholu pojawiają się nieprzyjemne doznania podobne do głodu i wewnętrznego przymusu wypicia, połączonego z poczuciem paniki i obawą, że się nie wytrzyma długo bez alkoholu. Dla alkoholika obecność alkoholu w życiu codziennym staje się czymś bardzo ważnym, dużo uwagi i zabiegów jest skoncentrowanych wokół okazji do wypicia i dostępności alkoholu. Po wypiciu pierwszej porcji alkoholu ujawnia się niemożność skutecznego decydowania o ilości wypijanego alkoholu i o momencie przzerwania picia. Od czasu do czasu człowiek uzależniony od alkoholu dostrzega, że picie wymyka się spod jego kontroli i próbuje udowodnić sobie lub innym, że potrafi nad tym zapanować, jednak próby te przynoszą niepowodzenie.

Uzależnienie od alkoholu, czyli alkoholizm jest chroniczną, postępującą i potencjalnie śmiertelną chorobą. Może ona jednak być powstrzymana, jeżeli osoba uzależniona podejmie systematyczną terapię w placówce odwykowej. Niestety, mechanizmy tej choroby powodują, że zdecydowana większość osób uzależnionych nie chce się leczyć. Tylko presja cierpienia i zagrożenia lub zewnętrznych okoliczności może, choć z trudem, torować alkoholikowi drogę do ocalenia. Uzależnienie jest chorobą, która uszkadza cztery podstawowe sfery życia – fizyczną, psychiczną, społeczną i duchową. W zdecydowanej większości przypadków, bez fachowej pomocy, osoba uzależniona nie potrafi się uratować. Nie oznacza jednak, że powinna

być zwolniona od odpowiedzialności za swoje postępowanie. Jeżeli ktoś po pijanemu narusza prawo, zasady moralne, krzywdzi innych i powoduje straty materialne, powinien za to ponosić odpowiedzialność, tak jak wszyscy ludzie. Jeżeli ktoś z członków rodziny pije w sposób chorobliwy, to cała rodzina doznaje szkody. Życie rodzinne może być poważnie zaburzone przez ETOH także wtedy, gdy ktoś z członków rodziny jest dopiero na drodze do uzależnienia się – upija się okresowo, ale nie występują u niego jeszcze w pełni objawy choroby. Bardzo trudno wyrwać się z tej potwornej choroby zwanej alkoholizmem, ale nie jest to niemożliwe. Można ratować siebie i swoje dzieci, budować i chronić własne terytorium życiowe i psychiczne. Nie trzeba rezygnować ze wszystkiego, nie trzeba przedwcześnie wysiadać z pędzącego pociągu zwanego życiem. Dla dodania wiary i otuchy tym, którzy gaśli i gasną na moich oczach w mrocznej mgłę alkoholu dedykuję napisany przeze mnie krótki wiersz:

Nie jest za późno

Po Tsunami nastaje spokój
Po nocy przychodzi dzień
Sam siebie... sprowokuj
I odrzuć sfałszowany cień.

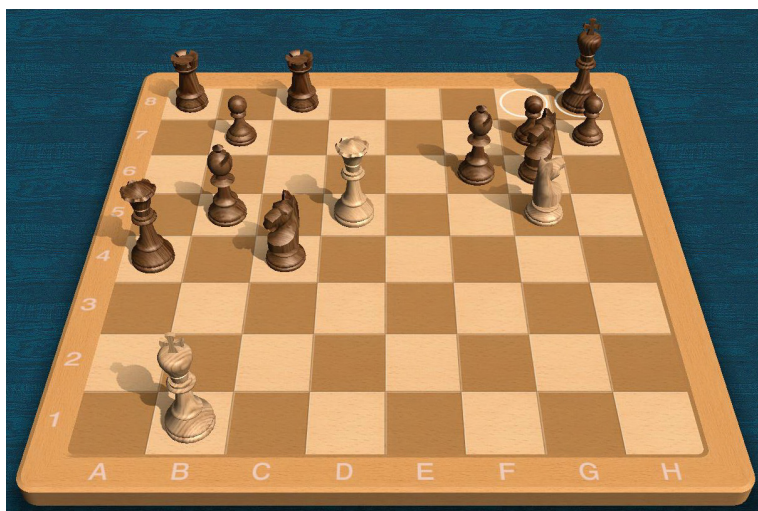
Przeciwieństwem alkoholizmu jest filar abstynencja, ale rozumiany nie jako fundamentalny atak na alkohol, a raczej jako umiejętność napicia się „jednego”, kiedy naprawdę nie wypada odmówić tego autentycznie „jednego”. Niejednokrotnie przebywając w różnego rodzaju towarzystwie spotykałem się z natrączywymi namowami: „napij się”, „no, napij się”. Wtedy ja demonstrowałem swój stosunek do alkoholu i do danego towarzystwa, a mianowicie wypijałem jednego, mówiłem: „a teraz na wsze czasy proszę się ode mnie „od... stosunkować”, po czym

wychodziłem, nigdy więcej nie wracając w to miejsce z tymi ludźmi.

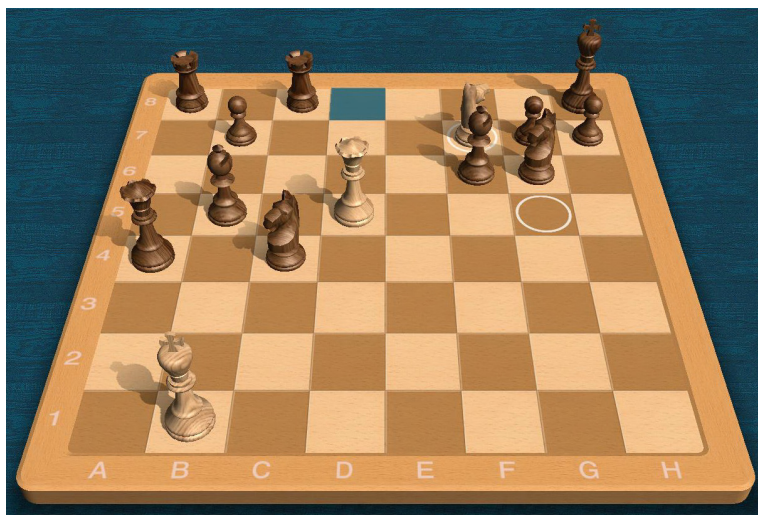
Abstynencja jest filarem, który pozwala nie tracić czasu na przesiadywanie w zadymionych barach i leczenie tzw. „kaca” cały następny dzień. Dzięki nie upijaniu się, nie działałam pod wpływem alkoholu, zachowuję trzeźwość umysłu w każdej sekundzie życia, nie działałam irracjonalnie, gdyż nie zabijam szarych komórek mózgu, jestem świadomy czynów, celów i mogę brać ciężar odpowiedzialności na siebie. Każdy z poprzednio opisywanych filarów: wiara, praca, podróże, sport, języki i doświadczenie nie idą w parze z alkoholizmem. Abstynencja pozwala zachować wolność wyboru, ponieważ mogę się napić i nie spowoduje to jakichkolwiek konsekwencji, nie będzie to początkiem końca, a przy tym wcale nie muszę pić. Wprowadzenie prohibicji nie stanowiłoby dla mnie żadnego problemu, bo to nie byłby powód do zmartwień czy rozczarowań. Abstynencja pozwala mi zanucić sobie pod nosem w każdej porze dnia i nocy słowa: „wolność kocham i rozumiem, wolności oddać nie umiem”.

Jedna akcja życia może zmienić bieg przeznaczenia

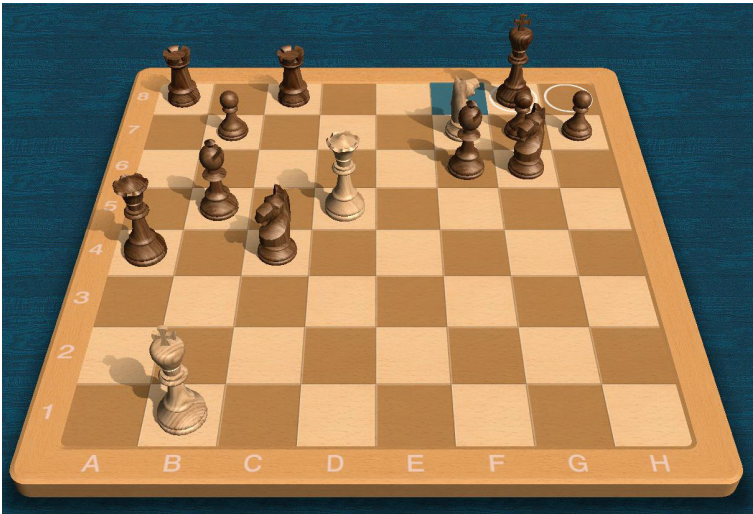
Sytuacja na diagramie wydaje się beznadziejna dla białych jak przed Bitwą Warszawską. Białe są na posunięciu i raz jeszcze zapadają w głęboką zadumę. Wszystkie warianty na pierwszy rzut oka są przegrywające dla nich, więc analizują możliwe kontynuacje po kolei, odrzucają, zaczynają rozpatrywać od nowa tak jak Józef Piłsudski w 1920 roku chodząc z papierosem po pokoju, zataczając coraz nowe kręgi. Nagle przychodzi nowa myśl, niewidoczna do tej pory. Skąd biorą się takie olśnienia w nas samych? Czy jest to efekt naszej wcześniejszej pracy, doświadczenia, a może opatrności boskiej, czy instynktu samozachowawczego? W pierwszej chwili jest to iskra i lekkie podniecenie ale wyrównujemy oddech, bo jesteśmy zawodowcami – a przynajmniej za takich się uważamy i zaczyna następować chłodna analiza. Rozmyślają, liczą i... są już pewne swego, wyciągając rękę po hetmana. Przenoszą go w powietrzu aby postawić na polu „d5” – szach królowi przeciwnika!



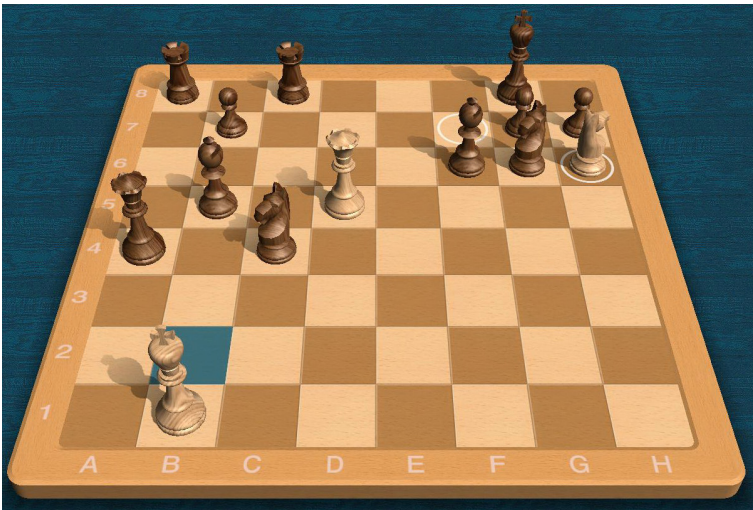
Teraz białe uruchamiają swojego drugiego sprzymierzeńca, który – choć nie wydaje się tak wartościowy w pierwszej chwili, – zaczyna odgrywać kluczową rolę. Skoczek staje na „f7” -- szach.



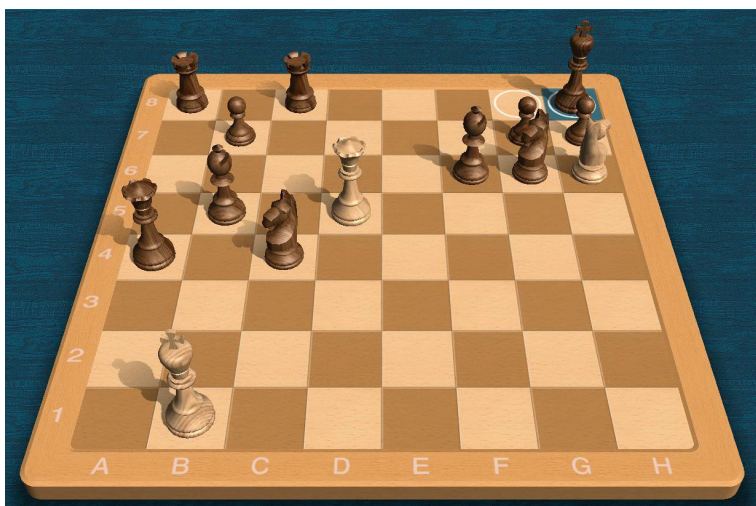
Czarny monarcha ma tylko jedno wyjście – pole „g8” -- co też czyni.



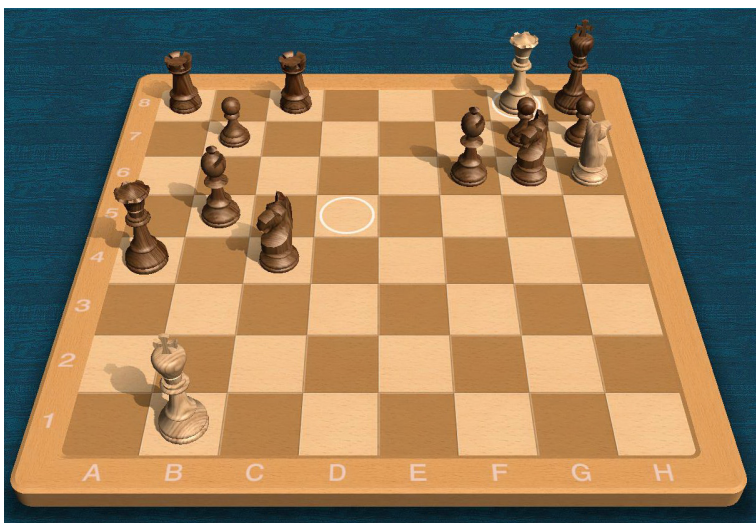
Biały koń w odpowiedzi skacze na „h6”



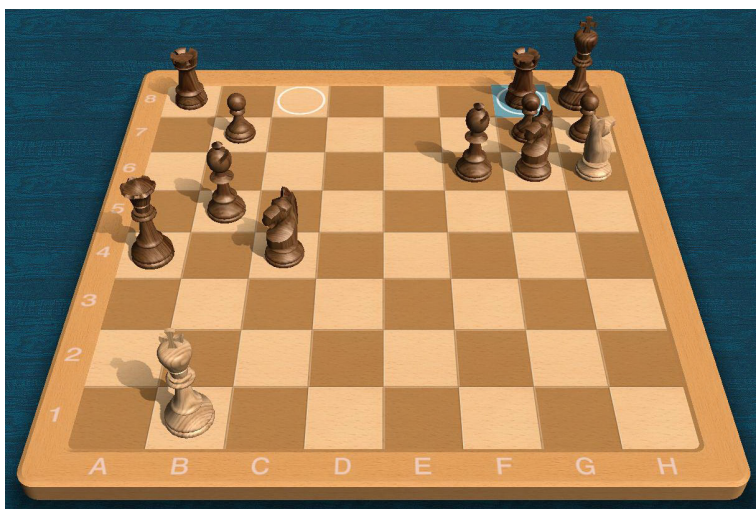
i jest podwójne uderzenie ostatnich wojowników koloru jasnego na króla przeciwnika, który może się cofnąć tylko na bezpieczne „h8”,



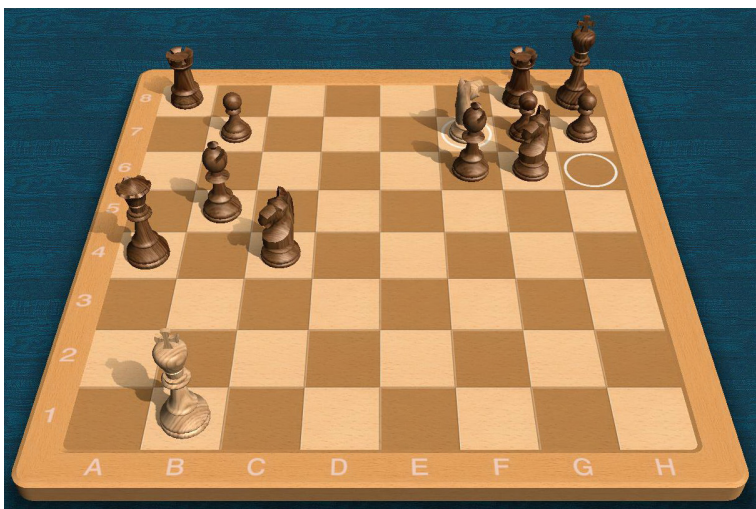
gdyż po stanięciu na „f8” białe idą hetmanem na „f7” -- mat. Ruch mają te bierki, których jest dużo mniej i dla dobra idei, wartości wyższego rzędu, poświęcają to, co mają najcenniejsze – swojego dowódcę. Zdecydowana odpowiedź brzmi: hetman na „g8” – szach!



Czarne likwidują to zagrożenie: wieża bije hetmana na „g8”.



Teraz białe pozostają z ostatnim żołnierzem, z jednej strony ostatni, a z drugiej jeszcze jakiś istnieje. W tej sytuacji jego wartość równa się – mało, przewyższa całą armię, bo następuje zabójcze: skoczek na pole „f7” – szach i mat!! Mrzonka o zwycięstwie stała się faktem!!



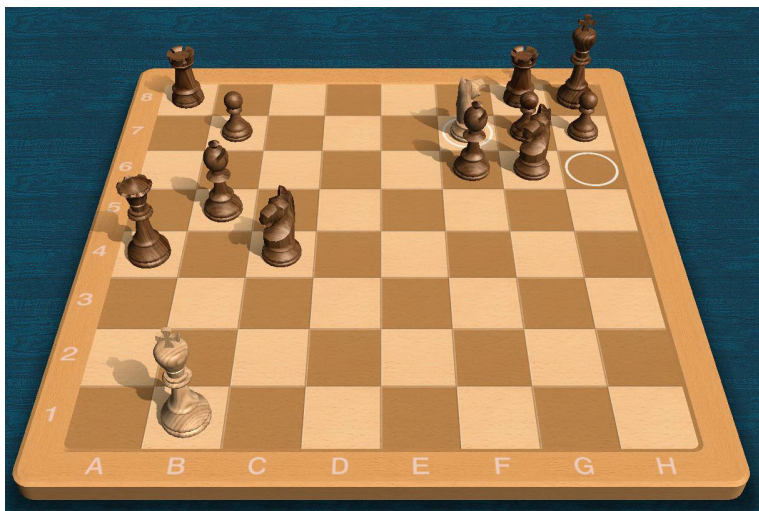
Prześledźmy teraz jak bił się w środku ze swoimi myślami człowiek grający białymi, zanim wpadł na ruch: hetman „d5” szach.

Pierwsza myśl, od której zaczął, tak układała się w jego głowie: „te szanse, które miałem w życiu i w tej partii są już nieistotne. One były, a zatem – czas przeszedł, czas nieobecny, miniony, już nie istniejący w realnej rzeczywistości. Więc przestaję się nad tym zastanawiać i muszę oczyścić umysł”. Resetuje go i robi miejsce na drugą myśl, już kreatywną.

Druga myśl zaczyna się od ogólnej analizy pozycji: „przeciwnik ma przewagę materialną, to oznacza brak możliwości z mojej strony pójścia na jakąkolwiek wymianę figur. A co ja posiadam? – tylko dwie bierki. Warto, ażeby zaczęły ze sobą współpracować, nie z takich opresji wychodziłem”. Kończą się rozmyślenia teoretyczno-filozoficzne.

Trzecia myśl zamyka się na przestrzeni trójwymiarowej 64 pól. Szachista grający białymi w dalszym ciągu snuje swe myśli, ale są to konkretne, praktyczne, wnikliwe analizy: „jeżeli nie zacznę od szacha, to dostanę mata w następnym posunięciu i koniec snów o potędze. Mój skoczek może wykonać sześć różnych ruchów. Co z tego, kiedy nim nie dam szacha. Pozostaje biały hetman, który może kontynuować grę stając na czternaście pól w linii pionowej i poziomej oraz kilka po przekątnych. Szuka, szuka – jest! Jedno takie pole z szachem, gdzie nie zostanie zbity, a nosi nazwę „d5”. Czy wtedy czarny będzie się mógł zasłonić? Hetmanem – nie, wieżami – nie, gońcami – nie, skoczkami – nie. Musi odejść królem na „h8”, bo „f8” pachnie szybkim końcem ciemnego koloru. Po tym posunięciu mogę zaatakować hetmanem ponownie na ósmej linii, ale zginie od wieży z „c8”. Co mi pozostaje – skoczek. Tak, tak, skoczek skoczy na „f7” z szachem. Od skoczka nie ma zasłony, wróci swoim monarchą na „g8”. Muszą współpracować moje bierki. Zdecyduję się na: skoczek „h6” -- podwójny szach, od którego nie ma również zasłony. Król czarnych wróci na „h8”, ja po-

święcę hetmana na „g8”, tam go zamorduje wieża przeciwnika, bo nie ma wyjścia z powodu mata (król nie może tego zrobić w wyniku obrony białego hetmana przez skoczka stojącego na polu „h6”). Mam inicjatywę, jestem na posunięciu i ich władca jest zablokowany przez swoje figury (oczywiście z powodu moich przemyślanych działań). Zadaję ostateczny cios zagrywając skoczkiem na „f7” mat!!”.



Ile było jego zasługi i jakiej, a ile wytworzonej sytuacji? Jak na końcowy wynik wpłynął charakter, wola walki, doświadczenie życiowe i szachowe oraz wiedza praktyczna i teoretyczna?

Zakończenie



Psy szczekają...



...a karawana idzie dalej.